

Wyprawa w górę Rio Gero [Oneshot][Adventure][Anthro¹]

Autor: Sun

Korekta: nie istnieje

Rarity czuła, że to będzie najlepsza noc w jej życiu. Właśnie spełniały się marzenia, które snuła od dzieciństwa. Była na Wielkiej Gali Galopu. W sukni, którą sama uszyła, a która wzbudziła niemały podziw wśród najznamienitszych gości księżniczki Celestii. A do tego, spotkała tam ogiera swoich snów. Tego, którego obraz trzymała pod powiekami każdego wieczoru, gdy kładła się spać. Przystojnego, szarmanckiego, inteligentnego, dowcipnego i istic złotoustego księcia Blueblooda.

Rarity czytała wszystkie wzmianki jakie pojawiały się o nim w gazetach, wycinała zdjęcia, słuchała plotek swych klientów z Canterlotu, a także kupiła wszystkie jego książki. A gdy w Ponyville zamieszkała Twilight Sparkle, biała klacz wypytała ją o wszystko, co ta wiedziała na temat księcia. Oczywiście nie na raz, by nie zdradzić się ze swoją obsesją.

A gdy wreszcie doszło do spotkania dwóch białych jednoroźców, snute przez młodą krawcową z prowincji wizje okazały się być kompletnie oderwane od rzeczywistości. Blueblood okazał się być jeszcze wspanialszym ogierem niż w jej najskrytszych marzeniach. Poświęcał jej pełnię swej uwagi, tańczył z nią już dwa razy, opowiadał anegdoty, a teraz zabrał do pałacowych ogrodów, na małe tête-à-tête. Jeśli jeszcze poprosi ją o nogę, będzie najbardziej spełnioną klaczą we wszechświecie.

– Uwielbiam pałacowe ogrody – westchnął Blueblood, prowadząc ją wzdłuż niskiego żywopłotu, porośniętego małymi, żółtymi i pomarańczowymi kwiatami. – Są naprawdę piękne. Zwłaszcza nocą. Można się tu poczuć jak w odległych krainach. Kiedy wokół tylko bezkresne lasy, a nad głową pełen kunszt cioci Luny.

– Zapewne spędzasz tu mnóstwo czasu, książę – powiedziała Rarity, uśmiechając się do niego. Był taki cudowny, przystojny... Zachowanie przy nim zdrowego rozsądku było dla niej nie lada wyzwaniem.

– Nie tak wiele jak bym chciał – przyznał. – Jak zapewne wiesz, dużo czasu spędzam w podróży. A skoro o tym mowa, wiedziałas, że w tym ogrodzie rośnie wiele gatunków kwiatów, pochodzących z najróżniejszych zakątków znanego nam dziś świata?

– Nie miałam pojęcia – przyznała zaskoczona.

– Jestem podróżnikiem i odkrywcą. Z każdej swojej wyprawy staram się przywozić nasiona interesujących kwiatów i drzew, które spotykam na swej drodze. Większość oddaję królewskim botanikom i zielarzom do badań, ale staram się też

¹ Dotyczy tylko „kotowatych”. Kucyki są normalne

przekazać kilka sztuk pałacowym ogrodnikom, by zasadzili je w ogrodzie. Dzięki temu więcej kucyków będzie mogło poznać przepiękną florę odległych krain.

– Nie wiedziałam, że uwielbiasz kwiaty, książę – powiedziała, po czym dodała w myślach: *To takie romantyczne.*

– Rozczaruję cię, lady Rarity, ale kwiaty lubię głównie jako element potrawy, albo dodatek do herbaty. Nie mam do nich ani kopyta, ani zacięcia, ani pasji – wyznał, posyłając jej ciepły, nieco przepraszający uśmiech, od którego klaczy mało nie zmiękły kolana. – Nie znam się w ogóle na roślinach, ale wiem, że wiele kucyków ceni je między innymi jako ozdoby. Dlatego między innymi, przywożę je ze swoich wypraw. By móc nimi uszczęśliwić innych.

Rarity już miała odpowiedzieć coś romantycznego, o tym altruizmie księcia, ale głośny tupot towarzyszący pojawieniu się rosłego jaka wybił jej wszystkie słowa z umysłu.

– Czołem Blueblood! – zawołał jak, rzucając się na księcia i obejmując go w niedźwiedzim uścisku.

– Witaj Yriel – wydyszał, nieco zmiażdżony książę. – Dobrze cię widzieć. To jest lady Rarity – dodał, wskazując na białą klacz, której towarzyszył przez cały wieczór.

Rarity skłoniła się nerwowo. Wielka jaczka nieco ją onieśmielała swą jowialnością i rozmiarem. Jednak Rarity nie mogła jej nazwać grubiańską. Z tego, co wyczytała w jednej z książek księcia, jaki po prostu takie były. Duże, nieco niezdarne i dość ekspresyjne.

– Czółko lady Rarity – powiedziała, puszczając księcia i boleśnie ściskając nogę białej klaczy. – Jestem Yriel, diuk Pelsbergu.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedziała Rarity, kłaniając się nisko. Diuk był znacznie wyżej niż lady. A już zdecydowanie wyżej niż „grzecznościowa lady”.

– Dzięki. Widzieliście tu może Zefara? – spytała, spoglądając ponownie na Blueblooda. – Taki pasiasty przystojniak rozmiaru kuca, ale strasznie chudy. Co dziwne, skoro lubi pichcić.

– Nie przyjechał – odparł książę. – Napisał mi, że nie może przybyć, gdyż w Zebrice mają akurat ważne święto narodowe. Ale wyleciała mi nazwa, jakie.

– Szkoda. Świetnie by się tu bawił. Jest kilka kalczy, którym wpadłby w oko. I ze wzajemnością.

Yriel zarechotała rubasznie, po czym spojrzała na dwa białe jednorożce. Jej umysł zdawał się pracować powoli i z wysiłkiem, aż wreszcie spłodził myśl, która objawiła się szerokim uśmiechem zrozumienia.

– Cóż, to nie przeszkadzam w waszej małej schadzce – oznajmiła, uśmiechając się jednoznacznie do Blueblooda. – Idę uderzyć na parkiet.

– To nie jest „schadzka” – odparł nerwowo Blueblood, rumieniąc się przy tym jak nastolatek.

Rarity nie miałyby w sumie nic przeciwko temu, by to była schadzka, ale nie chciała się odzywać. W końcu była tylko gościem księcia. Ale miała nadzieję, że po dzisiejszym dniu uda jej się to zmienić.

Yriel zaśmiała się serdecznie, dając do zrozumienia, że ani trochę w to nie wierzy, po czym odwróciła się i odeszła w stronę pałacu. Jej kroki dudniły mimo miękkiej ziemi.

– Bardzo interesująca osoba – przyznała z rezerwą Rarity, gdy tylko Yriel się oddaliła. – Ale dlaczego używa tytułu *diuk*? Jako kobieta powinna chyba być diuszessą? Nieprawdaż?

– Niezupełnie. To kwestia męskości – odparł książę, ewidentnie starając się nie śmiać. – W kulturze jaków nie ma podziału na kobiety i mężczyzn. Są tylko bardzo męskie jaki i trochę mniej męskie jaki, czyli teoretycznie jakowe kobiety.

– Naprawdę?

– Owszem. W Jakjakistanie nie ma też żeńskich tytułów szlacheckich. Wywodzi się to z tego, że kiedyś tytuły przysługiwały tylko bardzo męskiemu jakom, czyli, jak się pewnie domyślasz, mężczyznom. Jednak dwieście lat temu pojawił się precedens, który to zmienił. Otóż, był wielki baron Hvordal, którego poddani kochali i uważali za wielkiego barona, oraz wielkiego jaka. Swoją drogą, jaki lubią słowo wielki. Tak czy inaczej, baron ten niestety zmarł, nie pozostawiając żywego, męskiego potomka. Jego jedyny syn zginął w czasie wojny z podmieńcami. Tak więc tytuł wielkiego barona miał przejąć brat barona, uznawany przez wielu za idiotę.

Ale żona barona, Jezebel, zaprotestowała. Oznajmiła publicznie, że przejęcie tytułu przez Grødela będzie obrazą honoru jej i jej zmarłego męża, więc zamierza walczyć o tenże honor, oraz o prawo do tytułu.

I tu pojawił się problem, nad którym wielka rada jaków deliberowała przez trzy dni. Bo z jednej strony, każdy, nawet nie jak, może bronić swojego honoru w walce. A z drugiej, mniej męski jak nie może uzyskać tytułu, bo nie jest bardzo męskim jakim.

Po trzech dniach, wielki książę jaków miał dość przerzucania się argumentami i miażdżenia stołów. Oznajmił, że ta walka może się odbyć. Jeśli Jezebel przegra, nie

będzie żadnego pogwałcenia prastarych zasad, bo mniej męski jak nie będzie miał tytułu barona. A jeśli by wygrała, pokonując bardzo męskiego jakiegoś, mimo wszystko, był Grødel, udowodniłaby tym samym, że sama jest bardzo męskim jakimś i zasługuje na tytuł wielkiego barona.

Oczywiście Jezebel wygrała w pięknym stylu, otwierając tym samym drogę do tytułów dla innych mniej męskich jaków, pod warunkiem, że te udowodnią, że są bardzo męskimi jakami. Dlatego właśnie Yriel, jako bardzo męska córka wielkiego diuka, może się posługiwać tytułem diuka, który w zasadzie powinien być przez nas rozumiany jako pierworodny syn wielkiego diuka.

– Trochę to skomplikowane – przyznała niepewnie Rarity, starając się to logicznie poukładać w głowie. Przez moment zastanawiała się, czy nie spytać Blueblooda o to, czy jakaś jakowa kobieta nie próbowała wcześniej uzyskać tytułu w inny sposób, ale zrezygnowała. Więcej logiki jaków mogłoby ją boleć w mózg. Dlatego też Rarity postanowiła zmienić temat. – Kiedy ja i moje przyjaciółki jechałyśmy na Galę, moja dobra przyjaciółka, Twilight Sparkle wspominała książkę, że właśnie wróciłeś ze swojej, ostatniej wyprawy w głąb Końliwijskiej dżungli.

– Owszem – odparł książę, a w jego głosie była nutka radości.

– Czy może zechciałbyś mi wyjaśnić, skąd wzięła się nazwa Końliwia? Słyszałam o niej już w szkole, kiedy uczyłam się o Equestriańskich koloniach zamorskich. Jednak nigdy nikt nie umiał mi odpowiedzieć, czemu kolonia zamieszkała przez duże i inteligentne koty nazywa się Końliwia.

– To dość zabawna historia, lady Rarity – zaśmiał się książę. – Choć dziwię się, że Twilight jej nie zna. Z tego co pamiętam, była bardzo czytana i interesowała się praktycznie wszystkim.

– W sumie, to nie pytałam jej o to – przyznała Rarity, uśmiechając się głupio. Właśnie dotarło do niej, że miała odpowiedź na wyciągnięcie kopyta i nawet nie spróbowała po nią sięgnąć. – Jakoś na to nie wpadłam.

– Bywa – skwitował ciepłym głosem. – Jak zapewne wiesz, Końliwię odkrył Saddle Builder. A zrobił to, nawet nie schodząc na ląd. Płynął wzdłuż wybrzeża, szkicując linię brzegową, aż dotarł do niezwykle urokliwej, zalesionej zatoczki, za którą zaraz zaczynały się wzgórza. Stwierdził, że to dobre miejsce by założyć kolonię i nową ziemię kucy: Końliwię. Czyli, w staroequestriańskim, miejsce gdzie żyją konie.

Zapisał sobie tą nazwę na szkicu i nadał sygnał na drugi okręt, by tamci przybili do brzegu, obejrzeliby co tam jest i zobaczyli czy da się założyć osadę. Dopiero gdy w drodze powrotnej spotkał się z drugim statkiem, dowiedział się, że w Końliwii żyją wielkie koty, które dość ciepło przyjęły przybyszów. Ale zdania co do nazwy nie zmienił.

– To dość... smutne – stwierdziła Rarity. – Moim zdaniem to krzywdzi takie krainy. Fakt, są naszymi koloniami, ale przez takie bezsensowne nazwy tracą swój urok.

– Zgadzam się z tym, lady Rarity. Ale niestety odkrywca ma prawo nadać oficjalną nazwę i tak było zawsze. Dlatego Saddle Builder uszczęśliwił nas takimi kfiatkami jak Kuctaryka, Kucmenistan, czy Koñliwia. Swoją drogą, miejscowi nazywają ją Plaza. Jeśli dobrze pamiętam, to można to przetłumaczyć jako Miejsce. Ale głowy nie dam, dopiero od niedawna uczę się tego języka.

– To i tak brzmi sensowniej niż Koñliwia. Nawet jeśli to nasza kolonia i zapewne stacjonuje tam nasz garnizon – stwierdziła nieco zdenerwowana Rarity.

– Prawda. Na całe szczęście, baron Saddle Builder nie wkroczył w głąb tamtejszej dżungli. Dzięki temu to ja mogłem dokonać zapewne najważniejszego odkrycia w moim życiu – oświadczył książę. – Jeszcze go nie opublikowałem, gdyż dopiero tydzień temu wróciłem z całej wyprawy, ale z przyjemnością ci o nim opowiem. Jeśli oczywiście masz ochotę.

– Będę zaszczycona, książę.

– Zatem usiądź wygodnie i posłuchaj o rasie jaguarów żyjących w głębi Koñliwijskiej dżungli.

Usiedli na ławce. Blueblood otulił Rarity swoją kamizelką, by nie zmarzła, po czym wziął głęboki oddech. W myślach szybko poukładał wszystkie, ważniejsze elementy, tego, o czym chciał jej opowiedzieć, po czym zaczął snuć swą opowieść.

Był piękny, słoneczny poranek. Słońce przyjemnie ogrzewało mój grzbiet, a lekka bryza mierzwiła mi grzywę. Stałem na dziobie statku i obserwowałem jak nasz parowiec powoli przybija do brzegu Koñliwii. Swoją drogą, ten kraik, składający się obecnie z jednego portowego miasteczka, kilku kopalni, plantacji i wielkiej, niegościnnej i niezbadanej dżungli, jest naprawdę urokliwy. Moim zdaniem, zapowiada się na jedną z pereł naszego imperium. Już na pierwszy rzut oka, czułem, że wśród drzew kryje się skarb. Ale nawet nie przypuszczałem jaki.

Tak czy owak, stałem na dziobie Królowej Fal, wpatrując się w górzysty, porośnięty egzotycznymi drzewami teren. Obok mnie stał Zefar, również wpatrując się w portowe miasteczko.

– Już nie mogę się doczekać aż wreszcie poczuję twardy grunt pod kopytami. Pływanie mi nie przeszkadza, ale wolę jednak stąpać po ziemi – oznajmił, rymując jak

przystało na mieszkańca Zebrici. Niestety nie potrafię tak składać słów jak to mają w zwyczaju Zebricańczycy, więc musisz mi wybaczyć, ale nawet nie będę próbował mówić jak oni.

– Też już nie mogę się doczekać aż wreszcie dobijemy do brzegu – odparłem, próbując przeniknąć wzrokiem mrok odległej dżungli. – Czuję, że ta wyprawa będzie szczególna. Jak się czuje Yriel?

– Jak zwykle. Siedzi w pokoju i zielenieje.

Yriel, jak każdy jak, nie znosiła podróży morskich. Strasznie chorowała, co w połączeniu z jej apetytem i gabarytem miało wyjątkowo nieprzyjemne konsekwencje. Ale niestety nie było innej metody na dotarcie do Koñliwii.

Co ciekawe, jeszcze żaden jak nie wyśmiał innego jaka za chorobę morską, ani nie uznał tego za niemęskie. Zwłaszcza po tym, jak trzysta lat temu, wielki książę jaków zwymiotował podczas podpisania pokoju między jajkami i gryfami, które odbyło się na łodzi, na środku rzeki dzielącej oba kraje. Oczywiście gryfy uznały to za wypowiedzenie kolejnej wojny. Musiała interweniować ciocia Celestia.

Ale schodzę z tematu.

Statek powoli ustawił się przy doku, a załoga zaczęła rzucać cumy, pokrzykując do siebie. Po chwili opuszczono trap i wielce szczęśliwa Yriel wybiegła na ląd, łomocząc kopytami o deski.

– Pójdę do kapitanatu portu – powiedziałem. – Spróbuję się dowiedzieć, na co uważać w okolicy i może zdobędę jakąś mapę.

– Doskonale. Ja poszukam przypraw – odparł. – I będę miał oko na Yriel.

Po tych słowach chwycił leżące obok juki i ruszył w stronę trapu. Obserwowałem go przez chwilę, zastanawiając się, co też takiego planuje. Bo musisz wiedzieć, że Zefar jest nie tylko synem emira jednej z większych, Zebricańskich prowincji i wykształconym u najlepszych szamanów zielarzem, ale też miłośnikiem gotowania. Zawsze stara się osobiście dbać o nasze posiłki. Nie inaczej było z resztą na tej wyprawie. Z naszego prowiantu potrafił wyczarować rzeczy godne naprawdę dobrych restauracji.

Wzruszyłem łopatkami i ruszyłem do kapitanatu. Chciałem załatwić to od razu i jak najszybciej wyruszyć w nieznane.

Kapitanat portu mieścił się na piętrze ratusza zbudowanego tu przez pierwszą grupę osadników z Equestrii. Był to szeroki, piętrowy budynek z wejściem skrytym pod balkonem wspartym na drewnianych kolumnach. Jego front ozdobiony był w stylu typowym dla starych miasteczek Equestrii, jak Canterlot, czy Fillydelphia, ale z zauważalnymi wpływami kultury miejscowych. Takimi jak chociażby czterospadowy dach, białe ściany czy raczej małe okna. Ale to zrozumiałe, z uwagi na panujący klimat.

Gdy tylko wszedłem do gabinetu na piętrze, przywitał mnie kapitan, będący już sędziwym kucoperzem z siwizną na ogonie. Był to mój wierny przyjaciel i dowódca z czasów, kiedy byłem w wojsku.

W mig mnie poznał i uśmiechnął się na mój widok.

– Książę Blueblood. Jakże mi miło cię widzieć – powiedział. – Czy mogę zaproponować coś do picia? Herbatę, albo rum? Tutejszy.

– Nie, dziękuję, kapitanie Greytail – odparłem, siadając na wysiedzianej, czerwonej pufie, w jego biurze. Rozejrzałem się uważnie, oglądając jego gabinet. Na jednej ze ścian dostrzegłem misternie zdobiony, zebricański khanjar, z wygrawerowanym herbem rodu Discras. Przepiękna rzecz. Jedna z pereł jego małej kolekcji broni, którą zapoczątkował jego ojciec, a którą on sam rozwijał w swym zamku rodzowym. Widać i tu postanowił mieć jej kawałek.

– Czy mogę spytać, co sprowadza waszą wysokość? – zapytał, siadając naprzeciwko. Na biurku przed nim leżał manifest przewozowy naszego statku, gdzie wszystko było wypisane. Ale wiem, że chciał porozmawiać ze mną przez chwilę. Pewnie niewielu gości go tu odwiedzało. A już zwłaszcza znajomych. Ale cóż, sam wybrał sobie tą pracę jako rodzaj emerytury.

– Planuję odbyć wyprawę badawczą w górę rzeki – oznajmiłem zgodnie z prawdą. – Chcę uzupełnić mapy Końliwii o kolejny fragment i zobaczyć, co kryje się głębiej w dżungli.

– To nie jest bezpieczne, książę.

– To nie jest moja pierwsza podróż w nieznane, przyjacielu. Zdaję sobie sprawę ile niebezpieczeństw czeka w dżungli i jestem na nie przygotowany.

– Nie wątpię. Słyszałem o twoich podróżach po Zebrice. Domyślam się też, że jesteś uzbrojony. Na wszelki wypadek przypomnę, że używanie broni w mieście jest surowo zabronione. Nie żebym podejrzewał cię o złe zamiary, przyjacielu. To po prostu mój obowiązek. Sam rozumiesz.

– Oczywiście. To zrozumiałe – przyznałem, spoglądając mu w oczy. – Obiecuję nie dobywać szabli, będąc w mieście. O ile to nie będzie niezbędne.

– Oczywiście.

– A skoro o broni mowa, to mam dla ciebie mały prezent, przyjacielu – powiedziałem, po czym sięgnąłem magią do juków i wyciągnąłem z nich małe zawiniątko. Podałem kucoperzowi, a on rozwinął je szybko, odsłaniając niepozorny, stalowy nóż o jednosiecznej klindze. Po jego oczach widziałem, że to rozpoznał.

– Ależ to... – wyjąkał, przejeżdżając językiem po zębach. – Nie może być...

– I niestety nie jest – przyznałem, ze smutkiem gasząc jego entuzjazm. – Oboje dobrze wiemy, że prawdziwe, Księżycowe Ostrze z czasów wojen lunarnych jest praktycznie nie do zdobycia. To jest tylko replika wykonana zgodnie ze sztuką. I to przez kowala będącego kucoperzem.

– No cóż, to bardzo piękny i cenny prezent – przyznał, kładąc ostrożnie nóż na blacie. – Dziękuję ci.

– Drobiazg. Taki mały prezent dla dowódcy, który wiele mnie nauczył. I dla starego przyjaciela. A wracając do tematu, co takiego niebezpiecznego kryje się w dżungli? – spytałem.

– Ten kraj jest spokojny – westchnął Greytail. – Poza terenami podmokłymi na północy, kilkoma trującymi roślinami i oczywiście dzikimi zwierzętami, to raczej nie ma tu niebezpieczeństw. Miejscowi nawet nas lubią, ale to dlatego, że wiele korzystają na naszej obecności. Wiesz, że przed naszym przybyciem, nie mieli tu szkoły? Nie mówiąc w ogóle o porządnym, ceglanym budownictwie.

– Słyszałem – przyznałem.

– Swoją drogą, powinieneś poszukać sobie jakiegoś przewodnika. Zawsze to lepiej mieć kogoś, kto zna okolicę i wie czego unikać. Najlepiej mojego bratanka, Darkwinga. Dobrze zna okolicę i zapuszczał się głęboko w dżunglę ze swoimi patrolami. Choć zapewne nie aż tak głęboko, jak ty zamierzasz. Poza tym, uwielbia twoje książki. Pewnie ucieszyłby się z takiej wyprawy.

– Z pewnością – odparłem, uśmiechając się. – Dla ciebie zawsze. Z resztą, przyda nam się towarzystwo i przewodnik. Gdzie mogę znaleźć twojego bratanka i jak go poznam?

– Poznasz go łatwo, bo to kucoperz, jak ja. A szukać próbuj w barze *Pod banderą*. Spędza tam połowę wolnego czasu. Jeśli nie znajdziesz go tam, ani w garnizonie na wzgórzu, to niestety będziesz musiał przeszukać kilka alków. Niestety na niego nie ma siły.

– Młodość – zaśmiałem się. – Czy kiedyś nie byliśmy tacy sami?

Mój przyjaciel pokręcił głową, ale uśmiech na jego pysku zdrdzał wszystko.

– Dobrze, poszukam go i zapytam, czy nie chciałby wyruszyć ze mną. I nie będę wspominał słowem o aspektach wychowawczych takiej podróży.

Dalszą rozmowę przerwały odgłosy awantury dobiegające z zewnątrz. Normalnie bym się nie przejął, ale usłyszałem głosy Yriel i Zefara.

Wyskoczyłem na balkon i zlustrowałem rynek. W mig dostrzegłem tłum wzbierający wokół jednego ze stoisk. Za ladą stał jakiś tutejszy sprzedawca, a po drugiej stronie, nie kto inny, a Yriel z Zefarem, który targował się zawzięcie, tak jak to tylko Zebricanie potrafią.

Jeśli kiedykolwiek zawitasz na Zebricański suk, lady Rarity, zobaczysz zupełnie inny świat. Jest tam gwarniej niż w centrum Manhattanu. Kupcy krzyczą głośno, zachęcając do spojrzenia czy zakupu ich towarów. A jeśli już wyrazisz zainteresowanie, to biada ci, lady Rarity. Zaczną cię zachęcać, przekonywać i namawiać tak sprytnie jak żaden handlarz u nas. Trudno odejść nie robiąc zakupu. Zwłaszcza jak się ma świadomość, że odejście z pustymi jukami może być obrazą dla kupca. Tak samo jak nie targowanie się z takim kupcem. W Zebrice kultura wymaga targowania się o prawie wszystko.

Zefar z werwą prezentował miejscowym swoją kulturę. Ci jednak chyba jej nie rozumieli.

– Czterdzieści bitów za ćwierć kwarty różowego pieprzu?! Toż to rozbój w biały dzień. Czy ty mnie obrażasz? – krzyczał ekspresyjnie Zefar. – Nawet w mej rodzinnej Zebrice można kupić ćwierćkwartę za mniej. Mogę dać osiem bitów.

– Czterdzieści – nie dawał za wygraną kupiec, nieświadomy, że i tak sprzeda za piętnaście, może dwadzieścia bitów i będzie bardzo szczęśliwy.

– Czterdzieści?! Słyszeliście go? Chce mi sprzedać za czterdzieści. Jakbym był bogatym turystą, który może trzy razy przepłacić.

Zefar powiódł wzrokiem skrzywdzonego, po zebranym wokół tłumie. To był jeden z jego sposobów by wzbudzić zakłopotanie u kupca.

– Ale ja się nie dam – ciągnął. – W największych miastach Equestrii ćwierć kwarty różowego pieprzu kosztuje dwadzieścia bitów. Dwadzieścia po przewiezieniu go przez ocean i pół wielkiego kraju. A ty chcesz mi sprzedać za czterdzieści tam, skąd on pochodzi? Czy sprzedałbyś go za tyle swojemu sąsiadowi?

Tłum zaszemrał coś. Tak na moje oko ten sprzedawca już przegrał. Byłem gotów stwierdzić, że sprzeda nawet za pięć. Ale stało się coś, czego się nie spodziewałem. Zefar rozejrzał się, po czym spojrzał na nieco zaskoczonego sprzedawcę i jakby ochłonął.

– Powiedz mi, mój drogi, czy kiedykolwiek się targowałeś? – spytał mój przyjaciel.

– Targowałeś? – powtórzył miejscowy. – Nie. Nigdy.

– Słodka Luno – jęknął teatralnie Zefar. – Nie targował się. Przecież targowanie się jest solą kupieckiego życia. Posłuchajcie moi drodzy. Pochodzę z Zebrici, kraju słynącego z najznamienitszych kupców na świecie. I każdy z nich się targuje. To wręcz obowiązkowy element każdego zakupu. Pozwala to zacieśnić więzy między klientem a sprzedawcą. Do tego stopnia, że część zebr przychodzi do swoich ulubionych sprzedawców tylko po to by porozmawiać i potrafi kupić coś tylko po to, by móc się targować. Jeśli chcecie, mogę was nauczyć prawdziwego, Zebricańskiego targowania.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł – spytała Yriel, szturchając go w bok. – Jaki się nie targują. Jaki mają uczciwe ceny.

– I wiele przez to tracicie – odparł cicho. Następnie uniósł łeb i spojrzał na nieszczęsnego, młodego handlarza, uśmiechając się. – Pozwól, mój przyjacielu, że cię wykorzystam do pomocy. Ty twierdzisz, że twój pieprz jest wart czterdzieści bitów. Ale ja ci nie wierzę. Spróbuj mnie przekona. Na przykład możesz powiedzieć, że na przykład jest świeższy, albo nie jest zwietrzały i wykąpany w słonej wodzie. Możesz powiedzieć, że jest lepszej jakości, a nie wymieszany z popiołem. Albo możez mnie nazwać skąpiradłem, które nie ma pojęcia ile to jest warte. W całości jednak chodzi o to, by zarobić jak najwięcej, ale nie odstraszyć klienta. Może spróbujemy?

Tłum zaszemrał ponownie, ale chyba z pewnym zaciekawieniem. Ja zaś odetchnąłem z ulgą. Nikt nikogo nie napadł i nikomu nie groziła śmierć. A krótka lekcja Zebricańskiego targowania z pewnością nikomu nie zaszkodzi. Nawet jeśli jest trochę eksprsyjne.

W poszukiwaniu przewodnika udałem się do wspomnianej przez mego przyjaciela tawerny. Odnalazłem ją bez trudu, kierując się głównie odgłosami rozstrojonego pianina, zmieszanymi z gwarem rozmów, oraz charakterystycznym zapachem.

Zapewne jako dama, projektantka mody i powierniczka Elementu Harmonii, nigdy nie postawiłaś kopyta w pobliżu miejsca tak obskurnego i zakazanego jak tamto. Sam również nie przepadam za takimi lokalami, ale nie mogę zaprzeczyć, że mają swój specyficzny klimat. Często słyszałem, że to jest właśnie to prawdziwie męskie, ociekające samczością miejsce.

Nie inaczej było *Pod banderą*. Od wejścia czuć było tytoniowy dym, tani alkohol, pot i kilka innych zapachów, których źródeł nie potrafię określić. Za barem stał regał pełen brudnych, zarośniętych tłuszczem i kurzem butelek. Przy stolikach siedzieli głównie miejscowi, ale znalazło się też kilka nieprzychylnie patrzących

gryfów, czy nieco zaskoczonych kucyków. Wszyscy zerkali na mnie, gdy podchodziłem do baru. Czułem ich mordercze spojrzenia i słyszałem te wszystkie noże, które chcieli mi wbić w grzbiet. Nie tylko metaforycznie.

– Dzień dobry – powiedziałem do barmana w jego ojczystym języku. Nie władałem nim najlepiej, gdyż dopiero się uczę, ale wystarcza by się porozumieć w podstawowych kwestiach. – Byłbyś tak miły i podał mi herbaty?

Cała sala wybuchnęła szyderczym śmiechem.

– Nie ma – odburknął. – Mleka też nie ma – dodał złośliwie, wywołując kolejną salwę śmiechu wśród zgromadzonych.

– No cóż, w takim razie poproszę szklanę tequili.

Śmiech momentalnie się urwał. Wszyscy patrzyli, czekając, czy jak głupi turysta zderzę się z mocą tequili. I o to mi właśnie chodziło.

Położyłem na ladzie kilka monet, po czym wziąłem podstawioną mi szklanę i obejrzałem pod światło. Następnie zrobiłem coś, co nie przystoi żadnemu gentlestalionowi, ani nawet żadnemu, zdrowemu na umyśle kucykowi i wypilem całość jednym haustem. Nie radzę tego próbować, lady Rarity. Sam uważam, że to nieodpowiedzialne i niegodne porządnego kuczka, ale niestety był to jeden z niewielu sposobów by zaimponować bywalcom takich miejsc. Drugim, preferowanym między innymi przez Yriel, jest znokautowanie największego i najsilniejszego z obecnych na sali.

I właśnie wtedy największy z obecnych się objawił.

Podszedł do mnie wysoki, szary kocur z trzema równoległymi bliznami na twarzy i pozbawiony połowy ucha. Jego oddech śmierdzał padliną, a zęby miał żółte i brudne. To był taki typ, którego nie chce się spotkać w ciemnej uliczce. W zasadzie, nigdy się takiego nie chce spotkać.

Przyznam, struchlałem gdy na mnie spojrzał. Starałem się jednak nie dać po sobie tego poznać.

– Czego tu szukasz, kucyku? – spytał, łypiąc na mnie groźnie.

– Darkwinga – odparłem.

Kocur roześmiał się szyderczo, demonstrując mi żółte zęby.

– A co? Rozbroił ci córkę?

– Nie. Jest moim... dawnym znajomym – odparłem niewzruszony. Nie miałem zamiaru się z nim kłócić, ale nie chciałem też bronić nieznanego mi jeszcze kucoperza.

– Tam siedzi, kucyku – rzucił, wskazując łapą na kąt, gdzie, przy małym stoliku siedział kucoperz, trzymając skrzydłem nienajczystszy kufel. Nie wyglądał jak hulaka i bawidamek. Raczej jak zmęczony życiem wojak. A to wbrew pozorom dobrze.

Przypominał mi mnie z młodości.

– Witaj Darkwing – zagadnąłem, przysiadając się do niego. Kucoperz spojrzał na mnie, a jego oczy się zaświeciły.

– Książę Blueblood – powiedział. – Jestem zaskoczony. Czytałem wszystkie twoje książki. Wujek opowiadał mi o tym, jak razem walczyliście w bitwie pod Longclaw.

Przyznam, że byłem tym nieco zaskoczony. Owszem, wiedziałem od jego wuja, że jest moim fanem, ale nie spodziewałem się, że ten, podobno, rozpuszczony młodzik znał moje książki. Ale to było dobre.

– Jak się pewnie domyślasz, organizuję wyprawę. W górę rzeki, będąc dokładnym. I szukam kogoś, kto zechciałby mi towarzyszyć i zna okolicę. Twój wujek polecił mi ciebie.

– Naprawdę?

– Tak – potwierdziłem. – Mówił, że znasz dżunglę lepiej niż niejeden miejscowy.

– Bo znam – odparł z dumą. – Ci tutaj to sama hołota. Niby miejscowi, a boją się chodzić dalej niż sto metrów za najodleglejszą kopalnię. Większość z nich nie wlaźłaby nawet w połowie tak głęboko w las, co ty na swoich wyprawach. Za to chętnie by cię skroili w pierwszej, ciemnej uliczce, książę. Ja za to nie boję ani drzew, ani dzikich bestii.

– W to akurat nie wątpię. – mruknąłem. – Poza tym, zapewne miejscowi nie znają Equestriańskiego. Inaczej dawno by cię rozszarpali – dodałem, śmiejąc się cicho. – A więc, chcesz ze mna wyruszyć na wyprawę?

– Ależ oczywiście, książę. To będzie ekstra. Od dawna o tym marzyłem.

– W takim bądź razie spotkamy się za godzinę przy kapitanacie portu. Zabierz ekwipunek, który uważasz za stosowny na kilkutygodniową wyprawę. Ja tymczasem porozmawiam z twoim dowódcą na temat twojej nieobecności. W końcu nie chciałbyś po powrocie mieć spotkania z sądem polowym za dezercję.

– E tam, wykręciłbym się – odparł, szczerząc kły w uśmiechu.

– I możesz mi mówić Blueblood. Tytuły zostawmy sobie na jakąś galę – dodałem, uśmiechając się do niego. Następnie wyszedłem by poszukać Zefara i Yriel, zanim ci wydadzą się w jakieś kłopoty.

Niestety z tego nic nie wyszło, bo kiedy ja rozmawiałem z Darkwingiem, jakiś miejscowy cwaniak postanowił zwinąć mieszek złota wielkiemu i z pewnością wolnemu jakowi. Ale wielki i wolny jak dogonił go, znokautował i usiadł na nim. Dosłownie.

Uwierz mi, to ostatnie nie jest przyjemne.

Oczywiście zanim na dobre wyruszyliśmy, trzeba było zjeść obiad i nieco odpocząć, przez co zrobił się dość późno. Dlatego Darkwing zasugerował byśmy zatrzymali się na noc, na jednej ze skrajnych plantacji na płaskowyżu. Mieszkał tam jego dobry znajomy imieniem Miauricio.

Powiem ci, lady Rarity, że było warto. Miałem okazję z bliska zobaczyć jak mieszkają tubylcy, oraz spróbować ich regionalnego dania. Tamales. Nawet dobre, choć nie umiem opisać dokładnie smaku. Trochę ostry, ale i słodki. Z dużą ilością kukurydzy, fasoli i papryki.

Sama chata, w której mieszkał Maiuricio, była prostą konstrukcją o ścianach z krzywych, nie najlepiej obrobionych desek. W środku było dość ciasno, ale całkiem przytulnie. Jedna izba sypialna dla Miauricia, jego żony oraz trójki dzieci, kuchnia i jeden duży pokój robiący za jadalnię, oraz miejsce zabaw, czy podejmowania gości. Pod sufitem wisiały suszące się rośliny, oraz całkiem ładny smok, wystrugany z drewna. Poza tym, było wiele bibelotów, ewidentnie będących kop... łapodziełem. Haftowane obrazy, małe rzeźby i totemy stojące na półkach, kolorowe kamienie nadziane na sznur, a nawet wazon wyrzeźbiony w tykwie. Ewidentnie mieszkańcy mieli nadmiar czasu a nie pieniędzy. Kuchni ci nie opiszę, bo przez większość czasu była okupowana przez Zefara, wypytującego panią domu o tajniki robienia tamales, oraz kilku innych dań. Pomagał mu w tym Darkwing, który znacznie lepiej znał język miejscowych.

Po kolacji była okazja by zapoznać się bliżej z gospodarzami i spróbować kolejnego specjału. Nasz gospodarz przyniósł sześć tykw z zieloną cieczą przypominającą wodę z bagna. Przyznam, że nie wyglądała zbyt apetycznie, ale nauczony doświadczeniem wiedziałem, by nie krzywić się od razu i nie krytykować. Wiele pozornie niedobrych rzeczy jest całkiem smaczne. Albo odwrotnie.

Jeśli chodzi o Yerba Mate, czyli ten napój, który nam podano, to nie jest on zły. Ma jednak bardzo specyficzny smak. Jeśli będziesz miała kiedyś okazję, polecam spróbować, lady Rarity. Mi osobiście nie przypadła do gustu, ale Yriel bardzo zasmakowała.

– Miałam już okazję pić Yerba Mate – powiedziała Rarity, przerywając księciu opowieść.

– Naprawdę? – zdziwił się. – Nie spodziewałem się, że wybrałaś się do Koñliwii. Choć z drugiej strony kłacz o tak wszechstronnych talentach i zainteresowaniach jak ty z pewnością wiele podróżowała.

– Schlebiasz mi książkę, ale nigdy nie opuściłam Equestrii – przyznała Rarity, po czym poprawiła swoją pozycję na ławie. – Ale moje wojaże zaprowadziły mnie kiedyś do herbaciarni w Manehattanie, która serwowała również Mate. Z ciekawości spróbowałam i muszę przyznać, że faktycznie ma specyficzny smak. Trochę słony.

– Ciekawe – mruknął książę. – To akurat może wynikać z transportu morskiego. Niestety na statku nie da się całkowicie zabezpieczyć przed solą morską. Ona jest wszędzie. Nawet w kawie, czy czekoladzie.

– Możliwe. Za to ta rurka do picia była bardzo interesująca.

– Bombilla? Faktycznie, to bardzo zmyślna rzecz.

– Bom... – spróbowała powtórzyć, ale jej nie wyszło. – Tak. Świetnie się sprawdza do picia liściastych herbat prosto z filiżanki. Ale przepraszam, książę, przerwałam ci taką błahostką. Proszę, kontynuuj swoją opowieść.

– Z przyjemnością.

Początkowo niepewnie sięgnęliśmy po nasze tykwy i idąc za radą Darkwinga, pociągnęliśmy powoli przez rurki. Napar okazał się być zimny i przyjemnie orzeźwiający. Smakował trochę cytryną, ale tak nie do końca. Trudno mi go było wtedy określić, a teraz już niestety trochę zapomniałem.

Tak czy inaczej, przez chwilę siedzieliśmy przez chwilę, kontemplując smak Mate. Zaraz jednak zaczęliśmy pytać Miauricia i jego żonę o okolicę. Potwierdzili oni jedną, interesującą plotkę, którą zdążyłem mimochodem usłyszeć w mieście. Otóż miejscowi wierzą, że głęboko w dżungli żyją demony gotowe porwać i rozszarpać każdego wędrowca. Nie wiadomo, co to i skąd się wzięły, ale czają się podobno w mroku i atakują znienacka. I na pewno nie są dzikimi zwierzętami, tylko demonami.

Dlatego też Miauricio odradzał nam wyprawę. Nawet jego milcząca przez większość czasu żona stwierdziła dobitnie, że jesteśmy szalonymi turystami i powinniśmy wracać do domu, zamiast się wydurniać.

Poza tym, dowiedziałem się sporo na temat uprawy Mate i wiem już, że u nas w Equestrii raczej nie wyrośnie. Może w specjalnej strefie, w południowych ogrodach, ale raczej bez szans. Z resztą, nie jest specjalnie ładna. Powiedziałbym, że jest równie ozdobna, co kukurydza.

Następnego ranka, zaraz po pysznym śniadaniu przygotowanym przez Zefara, wyruszyliśmy w drogę. Pozwolę sobie pominąć praktycznie całą, czternastodniową wędrówkę, która poprzedzała nasze spotkanie z ludem Jaguara. Przyznaje wprawdzie, że była interesująca i niezwykle pouczająca, ale błędnie ona przy zetknięciu z całą cywilizacją, tak jak suknie szlachcianek błędną przy twojej kreacji, lady Rarity. Poza tym, gdybym chciał opowiedzieć ci o wszystkim co nas spotkało po drodze, musielibyśmy tu siedzieć do świtu. A jakimż byłbym gentlekucem, gdybym zmuszał tak wspaniałą słuchaczkę do spędzenia całej nocy na kamiennej ławie.

Wspomnę tylko o tym, jak to mało nie zostałem pożarty żywcem przez roślinkę.

Było to bodajże dziesiątego dnia naszej wędrówki, około południa. Przedzierał się przez dość bagnisty teren, gdy nagle moją uwagę przykuł, samotnie rosnący krzew. Przynajmniej na tyle samotnie, na ile jakaś roślina może być samotna w dżungli. Nie był zbyt estetyczny. Długie łodygi zakończone były grubymi liśćmi, z jednej strony czerwonymi, a z drugiej zielonymi. Na krawędziach tych dziwnych liści wyrastały cieniutkie, kilkunastocentymetrowe kolce.

Ruszyłem w jej stronę, ale Darkwing zatrzymał mnie wyciągniętym skrzydłem.

– Stój.

– O co chodzi? – spytałem, spoglądając na niego.

– Na twoim miejscu nie szedłbym do tego kwiatka – powiedział. – To się może źle skończyć.

Przyznam, wzdrygnąłem się i spojrzałem nerwowo na dziwną roślinę. Stojąca obok mnie Yriel prychnęła gniewnie i zaczęła grzebać kopytem w miękkiej ziemi. Ani chybi miała zamiar zrobić to z czego słyną jaki. I nie chodzi mi tu o naleśniki z syropem klonowym.

– Złe kwiatki – prychnęła. – Zmiażdżyłabym.

– Może lepiej zostawić? – zasugerował Zefar. – Nie trzeba niszczyć tego, co nam się nie podoba. Czasami lepiej zostawić to w spokoju, by cieszyło oczy innych.

– Jaki zawsze miażdżyły to, co im się nie podoba. Jak sztuka współczesna. Jaki miażdżą sztukę współczesną.

– To akurat dobrze – mruknął kucoperz. – Sztuka współczesna to nieporozumienie. Poczekajcie chwilę, coś wam pokażę.

Darkwing rozejrzał się, po czym odłamał gałąź, na których rozpięta była spora pajęczyna i chwycił je niepewnie skrzydłami. Następnie ruszył powoli, niosąc niezadowolonego pająka w stronę skupiska tych dziwnych roślin. Powoli opuścił go nad czerwone liście.

Nagle, liście zamknęły się, pochłaniając pająka razem z kawałkiem pajęczyny.

– To mucholówka – oznajmił Darkwing, odsuwając się na bezpieczną odległość od sporego krzewu. – I to całkiem spora. Jeszcze nie widziałem tak wielkiego krzewu. Te rosnące w pobliżu miasteczka osiągają co najwyżej kilkanaście centymetrów. Ale są bardzo pożyteczne. Zjadają komary.

– Interesująca roślina – przyznałem. – Czemu tak robi?

– Nikt tego nie wie. Może jest głodna? A może to magia? Tak czy siak, nikt tego nie zbadał.

– Raczej nie magia – wtrącił Zefar. – Widziałem coś podobnego u nas w Zebrice. Był taki kwiat, który wyglądał jak kielich i cuchnął jak rozkładające się zwłoki. Przyciągał do siebie muchy, a gdy te wleciały do środka, przykrywał kielich liściem. Nasi druidzi stwierdzili, że to nie magia, tylko adaptacja. Wezwano nawet maga z Equestrii i on potwierdził, że w tych roślinach nie ma żadnej magii. Po prostu ziemia była uboga w jakieś składniki, które były w muchach. Więc rośliny się przystosowały.

– Nie podobają mi się te chwasty – burknęła ponownie Yriel. – Pewnie są niesmaczne. Ja to jednak zmiażdżę!

– Czekaj! Pójdę zebrać nasiona – powiedziałem, rzucając spojrzenie na naszego przewodnika. – Na co uważać?

– Nie daj jej się udziabąć. Jej kolce są zatrute. Tam gdzie cię chapnie, najpierw drętwieje, a na następny dzień swędzi jak głupie. I czasami wylazą parchy. Poza tym, to badziewie lubi dużo wody w ziemi, więc może być ślisko, albo bagniecie. Najlepiej macaj czymś drogę przed sobą. Poza tym, jest dość duża, więc może mieć trochę siły. Ale nie jest zbyt szybka.

– Dobrze. A gdzie są nasiona?

– Nie wiem. Nie znam się na tym, jak to coś rośnie. Wiem tyle, by się do tego nie pchać.

Wzruszyłem łopatkami i ruszyłem przed siebie, ostrożnie macając ziemię kopytami. Faktycznie, była niezwykle wilgotna i nieco śliska, ale udało mi się dojść do krzewu tych muchołówek bez utopienia się, czy poślizgnięcia. Gdy już dotarłem na odległość około pół metra od rośliny, przystanąłem i złapałem magią za łodygę.

To okazało się być błędem.

Pozostałe główki, tak to chyba można nazwać, wystrzeliły w moją stronę, kłapiąc wściekle tymi liśćmi.

Odskokczyłem, chwytając magią za mą wiwerną szablę. Z rozmachem ciąłem przez łodygi, jakby to były najzwyczajniejsze chryzantemy.

Wszystkie łodygi odsunęły się na tyle, na ile pozwalała im ziemia, unikając mego ciosu. Tylko jedną z nich zawadziłem końcem, co jeszcze bardziej rozwścieczyło to zielone coś.

Zaatakowały ze wszystkich stron, kłapiąc wściekle liśćmi. Aż musiałem się wycofać.

– Wolne, co? – rzuciłem, odskakując i próbując szablą parować ataki rośliny.

Za mną rozległ się łoskot. To Yriel pędziła na ten dziwny krzak, przebijając się przez wszystko na swej drodze i wydając z siebie potężny, bojowy ryk. Sam ledwie zdążyłem uskoczyć, zanim przeszarżowała obok i wskoczyła na skupisko muchołówek, gryząc, miażdżąc i wyrывая je z ziemi. Potworny widok. Uwierz mi, lady Rarity, jeśli kiedyś spostrzeżesz szarżującego jaka, uciekaj na bok. Inaczej nie da się umknąć tej pędzącej destrukcji, porównywalnej z samym Discordem.

– Ja nienawidzę żarłocznych kwiatków – wydyszała wściekle, rozrzucając wokół martwe resztki roślin.

Spojrzałem w szoku na naszego przewodnika. Po jego minie wnioskowałem, że pierwszy raz w życiu widział wkurzonego jaka. I raczej nie wyglądał na takiego, który chciałby to jeszcze kiedyś oglądać.

Westchnąłem i pochyliłem się by zebrać resztki roślin i poszukać nasion. Miałem nadzieję, że nasi botanicy coś z nich odzyskają. Ale spokojnie, lady Rarity. Nie kazałem ich posadzić w ogrodzie. Przynajmniej póki nie zostaną dokładnie przebadane. Naprawdę nie chciałem być odpowiedzialny za inwazję wściekłych muchołówek na Canterlot.

Jednak ta drobna i ekscytująca przygoda była niczym przy ekscytacji związanej z odkryciem całej, nieznanej nikomu cywilizacji. To jak... jak... nie umiem tego z niczym porównać. Odkrywczy marzą o tym, ale niewielu ma to szczęście, by odkryć całą cywilizację. W zasadzie nawet Saddle Builder nie miał, bo cały zaszczyt odkrycia Gatos został przypisany, nie bezzasadnie z resztą, kapitanowi drugiego statku, Wingspawnowi.

Nasza przygoda z plemieniem Jaguara zaczęła się w zasadzie już wieczorem, czternastego dnia wędrówki. Zatrzymaliśmy się na mikroskopijnej polanie, gdzie udało nam się rozbić obóz. Rozstawiliśmy namioty, rozpaliliśmy ognisko, a Zefar wyciągnął kociołek i zaczął pichcić. Zapach był naprawdę cudowny, więc szybko przyciągnął moją uwagę. Przestałem czyścić szablę, która służyła mi od kilku dni do cięcia chaszczy i podszedłem do przyjaciela.

– Czy to ten słynny, magiczny napój? – spytałem żartem, podchodząc do niego.

– Nie. To zupa jest z brukselek – odparł, nie przerywając mieszania. – Przepis naszej pałacowej kucharki. Trochę doprawiony miejscowymi przyprawami. Powiedz, czy tobie wolno gotować, kiedy jesteś w domu?

– Nie wiem Nigdy nie próbowałem – odparłem. – Moja ciocia co niedzielę robi mi i swojej siostrze śniadanie, ale jej chyba nikt nie zabroni. Jest księżniczką, która rządzi całym krajem. Kto by jej miał zakazać?

– Nie wiem. Ja nie mogę domu gotować dla siebie, ani tym bardziej dla innych. To nie przystoi synowi emira. Mój ojciec mówi, że gotowanie to zajęcie dobre dla służby lub pospólstwa – prychnął, dając do zrozumienia, że zupełnie się z tym nie zgadza. I trochę go rozumiem. Świetnie sobie radzi w tej materii. Jego falafele są cudowne. – Żeby było zabawniej, odbieram lekcję ziołarstwa i przyrządzania eliksirów od jednego z najlepszych druidów w królestwie. A to prawie jak gotowanie.

– Prawda

Głośny tupot poprzedził przybycie Yriel.

– Brukselkowa? – spytała swym donośnym głosem. – Uwielbiam brukselkową. Ale u nas w Jakjakistanie brukselka nie rośnie. Kiedyś chciałam żeby rolnicy spróbowali uprawiać brukselkę, ale nie wyszło. U nas podobno za zimno. Za to sałata lodowa rośnie dobrze. I jest prawie tak chrupiąca jak brukselka. I wygląda podobnie. Tylko zupa słaba z niej wychodzi.

– Specjalnie dla ciebie – powiedział Zefar, uśmiechając się do niej. – Choć nieco zmodyfikowałem przepis. Pozwoliłem sobie dodać kilka tutejszych przypraw, więc może być ostrzejsze.

– Nasz koleżka pewnie się ucieszy – mruknąłem. – Ostatnio mówił, że trochę mdle.

– Bo było – powiedział Darkwing, pojawiając się znikąd. – Ale teraz to nieistotne. Coś nas obserwuje – dodał spokojnie. – Coś, albo ktoś. Tam!

Spojrzelismy w stronę, którą wskazywał, ale niczego nie dostrzegliśmy. Tylko ciemne kształty w zapadającym zmroku. Nagle, coś się ruszyło, ale dla mnie to mógł być ptak.

– Nic nie widzę – przyznałem, po chwili obserwacji.

– Był tam. Sukinsyn nas obserwuje – warknął. – Trzeba będzie wystawić warty.

– Ja się nie boję! Zmiażdżę wszystko, co zaatakuje moich przyjaciół. Wszystko! – powiedziała z pewnością w głosie Yriel. Ja nie wątpiłem w jej słowa, ale nasz przewodnik nie wyglądał na przekonanego. Czyżby wiedział coś więcej?

– Radzę jednak uważać – oznajmił niewzruszony. – W tej dżungli żyją gorsze rzeczy u nas w Equestrii. No może poza podmieńcami. Tu nawet zwykła żaba może się okazać waszym końcem. Nie wiem, co to było i nie wiem czy chcę wiedzieć.

– Miejscowi na rynku wspominali coś o demonach – powiedział Zefar, wracając do mieszania w kociołku. – Mówili, że porywają tych, którzy zbyt głęboko wejdą między drzewa.

– Bajki dla dzieci – prychnął Darkwing. – Nigdy z moim oddziałem nie natrafiliśmy na demony. A wchodziliśmy głęboko. Tak czy siak, trzeba będzie wystawić warty. Nie chciałbym żeby te nieistniejące demony nas zaskoczyły.

– Wezmę z tobą pierwszą wartę – oznajmiłem, ucinając dyskusję.

– To ja wezmę ostatnią – zgłosił się Zefar. – I przy okazji zadbam o śniadanie.

Przewodnik wywrócił oczyma, ale nic nie powiedział, bo w jego kopyta trafiła miska zupy brukselkowej. Była ostra, ale nie paliła. Za to przyjemnie wypełniała żołądek.

Mimo nerwów naszego przewodnika i poczucia niebezpieczeństwa, noc przebiegła bez ekscesów. A rano nie obudziliśmy się w piekielnym kotle, otoczeni przez czerwone diabły z widłami, krzyczące ugabuga.

Nie.

Pobudka była jak najbardziej normalna. Słońce przedzierało się między drzewami, tworząc miliony refleksów na pokrytych rosą liściach. To było naprawdę piękne, nieporównywalne z niczym innym. Świt w najgęstszym borze Equestrii, albo na pustyni w Zebrice mogłyby z tym konkurować, ale to zupełnie inne doświadczenia, które ciężko mi opisać. Takie coś trzeba zobaczyć na własne oczy. Zdecydowanie warto.

Tak czy inaczej, zaraz po śniadaniu wyruszyliśmy w górę Rio Gero, która stanowiła nasz punkt odniesienia. Fakt, czasami oddalaliśmy się od rzeki, by zbadać jakieś rośliny, czy ciekawie zapowiadające się formacje skalne, ale staraliśmy się jej trzymać przez większość czasu.

Już po pół godziny marszu dostrzegliśmy coś, czego dostrzec się nie spodziewaliśmy. W środku lasu, przy rzece stała mała, nieco krzywa chatka, zbudowana z trzciny i gałęzi. Obok niej był mały pomost i okorowany pień, który okazał się być dłubanką, czyli taką łódką wydłubaną w pniu drzewa. Nie wyglądały na opuszczone, tylko raczej na pozostawione przez kogoś, kto zamierza tu wrócić.

Chwyciłem magią moją szablę kawaleryjską i ruszyłem ostrożnie w stronę chatki. Za mną szła Yriel, starając się być cicho. Jak na jaka szło jej całkiem nieźle. Pochód zamykał Zefar i Darkwing idący z postawionymi na sztorc skrzydłami. Blask słońca tańczył na ostrzach, na krawędziach jego skrzydeł. Coś trochę jak srebrne obszycia na strojach zespołu akrobacyjnego Windriders, z Manhattanu. Z resztą, właśnie od tego się te obszycia wzięły.

Im bliżej byłem chatki, tym więcej śladów dostrzegałem. Obok dłubanki leżały prymitywne, drewniane wiosła. Przez mały otwór robiący za okno widać było sieci i jakieś gliniane naczynia. Pod ścianą stał długi, sękaty kij, z zakrzywionym hakiem, z kości, przywiązany do jednego końca. Najdziwniejsze było jednak mnóstwo tropów wokół. Jedne świeże, a inne stare. Wszystkie jednak wskazywały na tą samą istotę. Kota chodzącego na dwóch łapach.

– Podobno mieszkańcy miasteczka nie zapuszczają się tak daleko – mruknąłem, pochylając się nad tropem.

– To nie są miejscowi – odparł Darkwing. – Spójrz na rozmiar śladów – dodał, wskazując na odcisk w miękkiej ziemi. Był zauważalnie większy od tego, co było widać w mieście.

– Może ktoś ma duże łapy? – zasugerowała Yriel. – Też kiedyś widziałam we wiosce wielkie ślady jaka i pomyślałam, że przyszedł wielki, śnieżny jak, żyjący w najwyższych górach i pożerający kamienie. Ale to był tylko wujek Stortben, który wpadł z wizytą. A on miał duże nogi.

– No nie wiem – powiedział Zefar, przyglądając się tropom. – Ten kto to zostawił jest cięższy od mieszkańca miasta portowego, ale stąpa lżej. Jakby nie chciał zostawiać śladów.

– Masz dobre oko – pochwalił Darkwing, a ja złapałem się na tym, że też powinienem był to zauważyć.

– Rozejrzyjmy się w środku – zasugerowałem, po czym ruszyłem w stronę wejścia. Byłem niezmiernie ciekaw, co kryje się w takiej chatce, w środku dżungli.

Wnętrze okazało się być ciasne i nieco śmierdzące dymem oraz zgnilizną. Pod sufitem wisiały sieci uplecione chyba z pnączy. Pod ścianą stało kilka prostych, glinianych naczyń, ewidentnie zrobionych po to by były, a nie wyglądały. Na środku stanowił koślawy i brudny stół, na którym leżał nóż z kości.

Podszedłem bliżej i wtedy zrozumiałem, że drewniany blat był brudny od krwi.

Mało nie zwymiotowałem. Znaczący, podczas bitwy zdarzyło mi się widzieć obrzydliwe rzeczy, ale tamten stół budził moje najgorsze obawy. Aczkolwiek, jak się zaraz okazało, bezpodstawne.

– Ryba – stwierdził Darkwing, podchodząc do stolika i pociągając nosem. – Patroszyli tu ryby. Aw kociołku pewnie była zupa rybna.

– Śmierdzi rybą – podsumowała Yriel, zaglądając do kociołka. – Ja nigdy nie byłam tak głodna by jeść tak śmierdzące coś. Gotujesz lepiej Zefar.

– W mieście był targ rybny – powiedział Zefar, niewzruszony zapachem tej prowizorycznej kuchni. – Co mnie akurat nie dziwi.

– Ryby to podstawowy element tutejszej diety. Są sycące i w miarę łatwe do zdobycia – wyjaśnił Darkwing. – Poza tym, miejscowi wiele się nie różnią od kotów domowych. Jedzą ryby i większość najchętniej by spała przez szesnaście godzin dziennie.

– A Miauricio? Ma plantację – przypomniałem.

– Dużo tam roboty nie ma. Od kiedy założył system irygacyjny, który mu pokazaliśmy, to musi tylko zbierać, przewracać przy suszeniu i patrzeć czy mu coś nie oblaźło krzaków. A tak to siedzi i się objaja, albo rzeźbi w drewnie.

– Aha – mruknąłem, po czym zmieniłem temat. – Tak czy inaczej, skoro tu jest chatka rybacka, to gdzieś powinien być rybak.

– Lepiej się stąd wynośmy. Nie wiem czy chciałbym spotkać rybaków dość szalonych by tu mieszkać.

Bez słowa zgodziłem się z nim i wyszedłem na niewielki, drewniany pomost przy rzece. Rozpościerający się z niego widok był naprawdę wspaniały. Szeroka rzeka spokojnie omijająca wielkie kamienie zalegające w jej nurcie. Kolorowy ptak z wielkim dziobem, stał po drugiej stronie starając się rozłupać jakiś orzech o przybrzeżny kamień. Zapewne toksyczna żaba, rechotała gdzieś w pobliżu. Iście cudowny widok, którego dopełniały trzy wysokie koty w przepaskach biodrowych ze

skór, stojące na tylnych nogach. Nie wyglądały na szczęśliwe, biorąc pod uwagę ich obnażone kły i dziwne rękawice z ostrymi, zakrzywionymi pazurami.

Spojrzałem nerwowo w bok i dostrzegłem kolejnych dwóch wojowników, trzymających chyba dmuchawki, długie na pół metra.

Dmuchałka, to taka broń zrobiona z... kawałka wydrążonego drewna. Taka jakby rurka. Potrafi być długa nawet na trzy metry. Wkłada się do niej igłę, najczęściej zatrutą, a następnie przyciska dmuchawkę do ust i dmucha. Bardzo niebezpieczna, choć niepozorna broń, spotykana często wśród dzikich plemion. Podobno dobry dmuchacz trafia z trzydziestu metrów w orzech kokosowy.

– Przyjaciele, chyba znalazłem rybaków – powiedziałem nerwowo. – Ale coś nie mają wędek.

Jeden z wojowników warknął do mnie, rozkładając szeroko ręce i demonstrując swoje szpony. Szybko jednak przeniósł wzrok na moich przyjaciół, którzy wyszli z chaty i stanęli obok.

– Yriel już nie lubi kotów w majtkach – warknęła Yriel, grzebiąc kopytem.

– Również mi się to nie podoba – przyznał Zefar, a w jego ogonie znikąd pojawiła się chochła. Groźna broń. Kiedyś w pojedynkę znokautował taką chochłą sześciu rzezimieszków trudniących się napadaniem na karawany.

Po twojej minie, lady Rarity, wnioskuję, że nie jesteś w stanie sobie wyobrazić Zefara nokautującego w pojedynkę pół tuzina bandytów właśnie chochłą. Sam z resztą do dziś mam problem żeby w to uwierzyć, a widziałem to na własne oczy.

– No to jesteśmy w dupie – mruknął Darkwing.

– Atakujemy? – spytałem, zaciskając magiczny chwyt na szabli.

– Zgłupiałeś?! Nawet jeśli tu jest pięciu, to tam między drzewami pewnie siedzi z tuzin z dmuchawkami. Zrobią z nas sito zanim się obejrzymy.

– Wiedziałeś, że ktoś jeszcze żyje w dżungli?

– A skąd. Jakbym wiedział, to bym wam przecież powiedział.

Spojrzałem nerwowo na wojowników. Wszyscy byli rośli, dobrze zbudowani i mieli podobne umaszczenie. Jch jasne, pomarańczowe futro było poznaczone wieloma czarnymi plamkami w kształcie kółek, z mniejszymi plamkami w środku.

Jeden z nich zrobił krok do przodu i powiedział coś. Spojrzałem na Darkwinga, ale ten tylko wzruszył łopatkami i pokręcił głową. Nie było więc innej rady. Powoli odłożyłem szablę na ziemię i sięgnąłem magią do juków. Dzicy przyłożyli dmuchawki do ust i obserwowali mnie, jak wyciągam niewielki naszyjnik i zawieszam go sobie na szyi. Był to prezent od cioci Luny i cioci Celestii, przygotowany we współpracy z

najlepszymi zaklinaczami. Amulet translacyjny. Wspaniała rzecz, choć niepozbawiona wad. Dlatego nie często go używam. Identyczne ma też Zefar i Yriel.

– Witajcie – powiedziałem, gdy już naszyjnik się aktywował. – Nazywam się książę Bueblood.

– Co robicie na naszych ziemiach? – spytał ten, który zrobił krok do przodu. W jego głosie czuć było wrogość, ale też nutkę zaciekawienia. To był dobry znak. Miałem nadzieję, jak widzisz słuszną, że nas nie zjedzą.

– Jesteśmy podróżnikami – wyjaśniłem, a magia amuletu przetłumaczyła to, mam nadzieję poprawnie. – Badamy dżunglę...

– Badacie? – spytał, unosząc brew, a stojący obok wojownicy zachichotali. – Czy dżungla jest chora?

I to właśnie jeden z uroków tego wspaniałego amuletu. Czasami zdarzy mu się przetłumaczyć coś w złym kontekście. Zazwyczaj kończy się to momentem rozluźniającego śmiechu, ale raz mi się zdarzyło, że musieliśmy przez to cudo uciekać, a obok świszczwały strzały bardzo niezadowolonych tubylców.

– Nie całkiem – odparłem, również się śmiejąc. – Przybyliśmy zobaczyć, jakie rośliny tu rosną, jakie zwierzęta można tu spotkać i nanieść ten teren na mapy. Chcemy dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Dla wiedzy. Nie wiedzieliśmy, że tu mieszkacie.

– Ta, w ogóle nie wiedzieliśmy, że istniejecie – dodał Darkwing, lecz amulet tego nie przetłumaczył.

– Ten amulet działa tylko na mnie – wyjaśniłem mu cicho. – Tłumaczy to, co ja mówię i tłumaczy mi, co mówią inni.

– To czego oni chcą?

– Pyta co robimy na ich ziemi.

– Co tam mówisz? – spytał przywódca wojowników. Stojący po jego prawej Jaguar warknął groźnie.

– Ja rozumiem cię dzięki temu amuletowi – wskazałem na naszyjnik. – Moi przyjaciele nie mają amuletu, więc tłumaczę im, co mówisz.

Dwa koty naradziły się szeptem, nie spuszczając nas z oka. Jeden machnął pazurami, a potem wykonał wymowny gest przy gardle. Drugi złapał go za łapę i pokręcił głową. Pozostali wojownicy patrzyli na nas, stojąc niczym posągi. Wiedziałem jednak, że gdyby przyszło co do czego, zaatakują nas bez mrugnienia okiem.

– Pójdziecie z nami do wioski – oznajmił wojownik. – Wódz osądzi, kim jesteście, przybysze.

Warknął na nas, a jego towarzysze otoczyli nas szczelnym pierścieniem. Nie było mowy o ucieczce. Walka też nie wydawała się dobrym pomysłem.

– Nie podobają mi się – burknęła Yriel. – Zmiażdżyłabym.

– Nie. Mają przewagę. Poza tym, chcą nas zabrać do wioski. Może nie są wrogo nastawieni?

– Aha, a moje skrzydła są ze złota – mruknął złośliwie Darkwing. – Ale faktycznie lepiej z nimi pójść. Chwilowo i tak nie mamy innego planu niż to, albo dać się zabić. A do wulkanu i tak nas nie wrzucą, bo tu wulkanów nie ma.

Westchnąłem, nie zgadzając się z nim, po czym ruszyłem za dzikimi wojownikami, kierującymi się w stronę wielkiej góry. Wtedy jeszcze nie wiedziałem jakie cuda się tam kryją.

Po godzinie przedzierania się przez gęstą i niezbyt przyjazną dżunglę, okazjonalnie szturchani dmuchawkami, dotarliśmy do wioski tubylców. Choć wioska to zdecydowanie niedopowiedzenie. Po przejściu przez chwiejny, wiszący most rozciągnięty nad szeroką rzeką, trafiliśmy na gigantyczną wręcz polanę, na której znajdowała się cała masa pól uprawnych. Zefar rozpoznał kukurydzę, len, paprykę i fasolę, ale wiele roślin było dla niego zagadką. Przy każdym poletku stała niewielka chatka. Większość z nich zbudowano z grubych kijów i gałęzi, ale trafiło się też kilka większych, wyglądających na gliniane, lub kamienne.

– Słodka Celestio – westchnąłem, rozglądając się jak dziecko w sklepie z cukierkami. Cała nieznana nikomu cywilizacja właśnie się przede mną otwierała. Pierwszy kontakt przypadał mnie. Coś takiego przytrafia się naprawdę nielicznym.

Byłem tak podekscytowany, że zupełnie wtedy zapomniałem, że mogę zginąć od kaprysu tutejszego władcy. To wszystko było nie do opisania. Cała cywilizacja. *Moja*. Nawet teraz jak o tym mówię, to głos mi drży z podniecenia.

– Ile ciekawych roślin – zachwycał się Zefar, kręcąc głową to w lewo, to w prawo. – Muszę później porozmawiać z kimś, kto umie gotować. Z pewnością ich kuchnia jest niepowtarzalna.

– Czuję jedzenie – powiedziała Yriel, śliniąc się nieprotokolarnie. – Smażone – dodała, pociągając nosem. – Pikantne i z tłuszczem.

– Faktycznie – potwierdził Zefar, również pociągając nosem. – Jakby... z nutą słodczy?

Czułem na sobie spojrzenia tubylców. Zapewne byłem dla nich jeszcze bardziej egzotyczny niż oni dla mnie. Do dziś mnie zastanawia, czy widzieli tam kiedykolwiek kucyka. Bo niestety, lady Rarity, w całym zamieszaniu i napięciu, zapomniałem ich spytać, czy ktoś z Equestrii kiedykolwiek tu trafił.

Moje myśli przerwał widok, który swą wspaniałością, przyćmił *wioskę* jaguarów. Bowiem wioska była w zasadzie tylko podgrodziem dla prawdziwego miasta wykutego w skale. Choć raczej była to bardziej nisza albo jakaś gigantyczna, szeroka jaskinia, którą tubylcy rozbudowali i wzniesli w niej budynki z gliny i kamieni, niż miasto wykute w skale. Ale z daleka wyglądało to jak najprawdziwsze miasto wykute w środku bardzo wysokiej góry. Cudo inżynieryjne, o które nie podejrzewałbym nikogo. Tak wspaniałe, że skłonny jestem je przyrównać do Canterlotu.

Im bliżej byłem, tym więcej dostrzegałem szczegółów. Budynki były wyłącznie z kamienia i gliny. Ze ścian przy samej górze wystawały drewniane belki, zapewne stanowiące wzmocnienie sufitu. Na niektórych były zawieszone dziwne, kamienne pierścienie o mniejszej, lub większej średnicy. Żaden jednak nie był większy niż moja głowa. Ciekawym było też to, że okna były tylko w ścianach od strony zbocza. Miało to w sumie trochę sensu, bo od tyłu i tak nie ma słońca.

Oglądałem się dookoła, zszokowany, słuchając jednocześnie jak Yriel opowiada cicho o formacjach skalnych, które dostrzegła. A muszę jej przyznać, że ma sporą wiedzę w tej materii. Zauważyła na przykład, że większość kamieni pochodzi prawdopodobnie z głębi lądu.

Wojownicy bardzo szybko poprowadzili nas główną ulicą, do pałacu wykutego w tylnej ścianie olbrzymiej jaskini. Tak, lady Rarity. To niesamowite plemię wykuło prawdziwy pałac w skalnej ścianie. A w zasadzie wykuło jego wnętrze, a ścianę frontową zmieniło w gigantyczną płaskorzeźbę, przedstawiającą, jak się później dowiedziałem, mit założenia tej wioski i całego państwa. W skrócie, koczownicze plemię jaguarów, wędrowało w czasie pory monsunowej, marznąc, moknąc i głodując. Gdy już nadzieja zaczęła ich opuszczać, chmury rozstały się na moment, a promień słońca wskazał żyzną polanę u stóp góry i olbrzymią, jaskinię, gdzie mogli się schować przed szalejącym żywiołem. A gdy już pora monsunowa się skończyła, ziemie obrodziły plonem kukurydzy, a wezbrane rzeki pełne były wielkich i smacznych ryb. Plemię postanowiło więc tu zamieszkać i zbudować miasto. A całą historię opisać na pałacu swego władcy, będący zarazem świątynią boga Jaguara.

Wojownicy wprowadzili nas przez wysokie wejście, wprost do głównej komnaty. Była wysoka i wąska, trochę jak sala tronowa w Canterlocie, ale bez kolorowych witraży i bez żyrandoli. Za to na ścianach było wiele malowideł przedstawiających różne sceny z życia wioski i chyba nie tylko. Wszystkie malowane z

profilu, bez jakiegokolwiek próby oddania perspektywy. Sceny modłów do wielkiej postaci jaguara, zbiory plonów i sceny batalistyczne. Ale w połowie sali te ostatnie zaczęły znikać, zastępowane przez coś innego. Również były dwie armie, ale tym razem mniejsze, bez broni, ale za to na arenie, której przeznaczenie było dla mnie wtedy tajemnicą.

Wreszcie dotarliśmy przed oblicze wodza tego miasteczka. Był to dobrze zbudowany jaguar, który jednak lata młodości miał za sobą, o czym świadczyła zauważalnie siwiejąca sierść. Odziany był w kolorową szatę, zdobioną na krawędziach szkarłatnymi obszyciami, a na głowie miał koronę z piór, trzciny i miedzi. Jego złote oczy przenikały nas na wskroś.

– Witaj mój synu – powiedział, spoglądając na wojownika idącego na czele. – Co za istoty tu przyprowadziłeś?

– Witaj ojciec – odpowiedział. – Mówią, że są badaczami i badają dżunglę.

– Czyżby dżungla była chora?

– O to samo ich pytałem, mój ojciec. Powiedzieli, że chcą się dowiedzieć, co tu rośnie i co tu żyje. Chcą osiąść wiedzę o tym miejscu.

Wódz mruknął coś i poskrobał się pazurem po brodzie.

– Powiedźcie mi przybysze, kim jesteście i czemu tak naprawdę wkroczyliście na nasze ziemie? – spytał wreszcie.

– Nazywam się książę Blueblood – przedstawiłem się. – A to są moi przyjaciele. Yriel, Zefar, oraz Darkwing. Przybyliśmy tu z odległej krainy zwanej Equestrią, by zbadać ten region i dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Nie wiedzieliśmy, że ktokolwiek tu żyje. Ani tym bardziej, że żyje tu tak rozwinięta cywilizacja.

– Nigdy nie słyszałem o żadnej innej krainie, ani tym bardziej o takiej, która nazywa się Equestria. Gdzie to jest? – spytał z zainteresowaniem, ale i pewną groźbą.

– Daleko, za wielką wodą. Przez trzydzieści dni i trzydzieści nocy płynęliśmy przez wielką wodę. Następnie czternaście dni wędrowaliśmy wzdłuż rzeki, zanim wojownicy twojego syna nas spotkali i sprowadzili tu.

– Aha – mruknął władca. – I podróżowaliście tak długo, by zobaczyć co rośnie w naszej dżungli?

– Tak. Jesteśmy odkrywcami. Od dawna ciekawiło nas, co kryje się za wielką wodą, więc postanowiliśmy przygotować wyprawę i tu przyplłynąć. Czy wy nie zastanawiacie się nigdy, co jest poza dżunglą?

– Wszyscy wiedzą, że poza dżunglą niczego nie ma. Jest dżungla – oznajmił nieprzyjazny, żeński głos, dochodzący z cienia za tronem.

Po chwili objawił się też jego właściciel, pod postacią niskiej, nieco pulchnej jaguarki odzianej w jeszcze bardziej kolorowe szaty i obwieszanej masą miedzianej biżuterii. Przez pierś miała przewieszoną torbę z wieloma kieszeniami. Z jednej wystawały jakieś rośliny, a z innej gliniana fiolka. Chyba. Była to szamanka i kapłanka wielkiego Jaguara. Niezbyt miła, ale diabelnie inteligentna, jak się okazało.

– Hmm... – mruknął wódz, patrząc to na nas, to na szamanke.

– O co jej chodzi? – szepnęła do mnie Yriel. – Nie lubi nas? Ja jej też nie.

– Mówi, że nie ma Equestrii, ani oceanu – wyjaśniłem. – Jest tylko dżungla.

– Zasugeruj, że wielka woda jest tak wielka, że nie widać, że otacza ją dżungla. Może to kupią – doradził Zefar.

Tak, wiem, że to było kłamstwo, ale czasami w pierwszym kontakcie trzeba nieco nagiąć prawdę, by zdobyć zaufanie plemienia. Wyobraź sobie, że ktoś by ci nagle powiedział, że Equestria jest tak naprawdę kulą, która krąży wokół słońca, a księżniczka Celestia nie ma tu nic do rzeczy. Zapewne gdybyś nie była wykształconą i obytą kłaczą, lady Rarity, nazwałabyś go szarlatanem, albo gorzej.

Aczkolwiek nie można też przesadzić z takimi *uproszczeniami*, gdyż odkręcenie tego może się skończyć źle. Na przykład twoim utopieniem i trzydniowym modłami nad twoim ciałem byś raczyła zmartwychwstać.

Tak czy inaczej, zanim mi było dane wyjaśnić co nieco, spotkałem pytające spojrzenie wodza i wielce nieprzyjemny wzrok szamanki.

– Nie podobają mi się ci przybysze – oznajmiła nieprzychylnym głosem. – To mogą być słudzy Pantery, wysłani tu podstępnie, by nam zaszkodzić i sprowadzić na złą drogę. Zwłaszcza ten ze skrzydłami demona. Paskudny pomiot Pantery.

– Co ona ode mnie chce? – spytał szeptem Darkwing?

– Skąd wiesz, że mówi o tobie? – zapytał go Zefar. – Znasz ich język?

– Nie. Ale wiem komu rzuca mordercze spojrzenie.

Zignorowałem ich, gdyż miałem ważniejszą rzecz na głowie. Mianowicie, by nie dać nas zabić, albo gorzej.

– Kim jest ta Pantera? – spytałem.

– To wredna i złośliwa bogini, która jest gotowa zniszczyć wszystko, co stworzył jej starszy brat, Jaguar. Gdy została wygnana z Nadświata, zbiegła daleko, gdzie sprzymierzyła się z plugawymi kreaturami mroku by knuć przeciw bratu i przejąć władzę nad światem. Jej sługi czają się w mroku, czyhając na dzieci Jaguara.

– Zapewniam was, że nie jesteśmy sługami Pantery...

– Każdy sługa Pantery by tak powiedział – burknęła szamanka, ale wódz uciszył ją gestem.

– Spokojnie Głośna Rzeka – powiedział wódz, ucinając dyskusję. Przy okazji dowiedziałem się, jak wygląda sprawa z tutejszymi imionami. Choć ich tłumaczenie to kwestia działania amuletu. – To mogą być słudzy Pantery, ale mogą to też być posłańcy Jaguara, albo faktycznie przybysze z odległej krainy, którzy trafili tu przypadkiem.

– Oczywiście, mój panie – powiedziała z niezmiernie kwaśną miną.

– Zastanawia mnie co innego – kontynuował wódz, spoglądając znów na mnie. – Twoi towarzysze są milczący, ale nie są niemowami. Czemu nie opowiedzą nam o tej wielkiej wodzie i Equestrii? Wstydzą się?

– A może ich języki są jadowite? – dodała złośliwie szamanka, na co władca prychnął nerwowo, ale nie skomentował. – Będą saczyć truciznę do naszych uszu?

– To z powodu magicznego amuletu – powiedziałem, wskazując na naszyjnik na mojej szyi. – Dzięki niemu ja rozumiem waszą mowę i jestem w stanie się nią jako tako posługiwać. Moi przyjaciele też mają takie amulety, ale gdy spotkali nas wojownicy twego syna, jakoś nie było okazji by je założyli.

– Magiczny amulet? – spytał z zaciekawieniem.

– Tak. Stworzyła go moja matka, władająca księżycem księżniczka Luna, oraz jej siostra, władająca słońcem księżniczka Celestia. Jest to niezwykle skomplikowany twór, dlatego istnieją tylko trzy.

Tak, wiem, lady Rarity, że to kłamstwo, ale niestety konieczne w takich sytuacjach. Wiele ludów nie uznaje instytucji ciotki. Niektóre nawet nie wiedzą co to znaczy. Co innego matka. Matka i ojciec to zawsze dobry wybór, jeśli chodzi o wskazywanie wielkiego członka rodziny. Potwierdzone doświadczeniami.

– Błuznierca! – krzyknęła szamanka, celując we mnie oskarżycielsko łapą. – Wszyscy wiedzą, że słońcem i księżycem porusza sam Wielki Jaguar. Nie jakieś księżniczki.

– Wielki Jaguar ma wiele nałożnic – powiedział ze spokojem milczący dotąd syn wodza. – Być może przekazał część swej mocy i obowiązków kilku z nich. W końcu, skoro jest bogiem, to nie musi wszystkiego robić sam. Sama mówiłaś, że może on obdarzyć potęgą każdego, kto na to zasługuje.

Przyznam, zdenerwowałem się wtedy, ale milczałem. Nie chciałem by przez jedno głupie słowo skazali nas na wrzucenie do wulkanu, czy coś. Zwłaszcza, że ten młody jaguar z pewnością powiedział to, by nam pomóc.

– O co jej teraz chodzi? – spytał szeptem Zefar. – I o co chodzi jemu?

– Mówi, że Celestia nie porusza słońcem. A on na to, że Celestia jest żoną Jaguara.

– Aha – skwitował cicho. W sumie mu się nie dziwię. Nawet dziś wielu mieszkańców Zebrici nie wierzy w to, że Celestia podnosi słońce, a Luna manipuluje księżycem. Wróćmy jednak do tematu.

– To w tej chwili nieistotne – stwierdził wódz. – Pokaż mi ten amulet księża Niebiestokrwisty.

Ech, uroki amuletu. Praktycznie zawsze tłumaczy imiona.

– Dobrze – powiedziałem, po czym uniosłem amulet magią i przelewitowałem na łapy wielce zaskoczonego i zdenerwowanego władcy. Ten wziął go niepewnie i, ku zgrozie szamanki, założył na szyję.

– To działa? – spytał, po założeniu amuletu na szyję.

– Jak najbardziej wodzu! – zawołała Yriel. – Dobrze wreszcie wodza zrozumieć. Jestem Yriel, wielki diuk jaków – dodała, po czym skłoniła głowę.

– Diuk? – spytał wódz. – Co to diuk?

– To taki wielki jak, który rządzi kilkoma wioskami – oznajmiła. – Taki wódz kilku wodzów.

– Ciekawe – przyznał. – A ty pewnie jesteś Sifair – powiedział, patrząc na Zefara.

– Zefar – poprawił go. – Owszem. Syn wodza największego miasta w Zebrice.

– Zebrice? Mówiliście, że przybywacie z Equestrii.

– Wiedziała! Próbują cię zwieść swymi słówkami. To z pewnością słudzy Pantery.

– Zamilcz – powiedział, patrząc na nią groźnie. – Gdyby to faktycznie byli słudzy Pantery, pewnie spaliliby wioskę, zamiast dać się tu doprowadzić.

– Może szykują coś gorszego?

– Posłuchaj mnie, Głośna Rzeka. Rozumiem twoje obawy, ale brzmisz jakby sam Jaguar odebrał ci rozsądek. Będziemy traktować naszych gości z należnym dla gości szacunkiem. Ale jeśli wzgardzą naszą gościnnością, złożymy ich w ofierze Wielkiemu Jaguarowi. Tak jak nakazuje prawo.

Szamanka nie wyglądała na zadowoloną, ale nie zamierzała się dalej kłócić z wodzem. Może obawiała się, że sama zostanie złożona w ofierze.

– Mój synu. Czekają mnie jeszcze ważne obowiązki przed rozgrywkami. Zaopiekujesz się więc naszymi gośćmi, a po południu przyprowadzisz ich na mecz. Zapewne ich zainteresuje, skoro przybyli tu by zbadać dżunglę.

Jego syn odpowiedział coś, co zapewne było zgodą, po czym podszedł do swego ojca, a ten założył mu na szyję mój amulet. Później udaliśmy się do pokoju naszego nowego przewodnika, gdzie zostawiliśmy rzeczy. Był to spory wyraz zaufania. Zarówno z naszej strony jak i z jego. Gdybyśmy faktycznie byli sługami tej Pantery, moglibyśmy przecież podrzucić mu jakąś klątwę.

Sam pokój okazał się być sporym pomieszczeniem wyglądającym jak chyba każdy pokój młodego przedstawiciela płci męskiej, niezależnie od szerokości geograficznej. Stojący pod oknem blat był zavalony jakimiś książkami i chyba pergaminami. Szafka pod ścianą była na wpół otwarta i wypadła z niej fragment ubrania. Łóżko z kamiennej płyty, na której leżał gruby materac było niezasłane i wyglądało jakby ktoś wstał i sobie poszedł. Całości dopełniał jeszcze stojak z równo poukładaną bronią, dwie wędki, oraz szafka na książki i różne bibeloty. Pomiędzy nimi stały dwie figurki. Jedna pięknie odlana i obrobiona, a druga nieudolnie wyrzeźbiona na wzór pierwszej.

Nie mieliśmy jednak zbyt wiele czasu by podziwiać to urokliwe miejsce. Syn wodza przekonał nas, byśmy tylko zostawili rzeczy i poszli obejrzeć miasto. Miało być ciekawsze niż jego pokój.

I było.

Razem z synem wodza wyszliśmy z pałacu i ruszyliśmy przez miasto. Nasz przewodnik wiele wiedział o tym, co się tu dzieje i o historii wioski. Choć osobiście uważam, że ta wioska zasługuje na miano miasta. Licząc z polami uprawnymi była mniej więcej rozmiaru połowy Fillydelphii. Może trochę mniejsza.

Pierwszym krokiem było oczywiście wyjaśnienie, co oznaczają płaskorzeźby na świątyni Jaguara, będącej jednocześnie domem tutejszego wodza. ale o tym ci już mówiłem. Od razu dowiedzieliśmy się też, że ta wioska nazywa się Catra i jest największą wioską ludu Jaguara. Pozostałe są w odległości kilku dni marszu, w górę rzeki, po obu jej stronach. Choć mam podejrzenie, że dla nas ta droga byłaby dłuższa. Syn wodza chodził naprawdę szybko.

– I naprawdę wykuliście świątynię w litej skale? – spytała z niedowierzaniem Yriel. – Podziwiam. To musiało zająć wiele czasu.

– Legenda mówi, że świątynia i pałac były budowane przez sto lat. Kolejne sto trwały rzeźbienia historii na ścianie.

– Długo. U nas w Jakjakistanie też mamy pałac wewnątrz góry. Jednak jego budowa trwała podobno pięćset lat. Pracowały przy tym całe pokolenia jacych rodzin.

– Kamień to trwały budulec. Przetrwa wiele pokoleń. Cywilizacje potrafią upadać, a ich kamienne budowle stoją do dziś – stwierdził sentencjonalnie Zefar. – Jak głowy na wyspie Jajecznej.

– Jakiej wyspie? – spytał nasz przewodnik, nie kryjąc zaskoczenia w głosie. Mam wrażenie, że idea olbrzymiego świata poza jego dżunglą nie do końca do niego docierała. Choć i tak był bardzo otwarty. – I co to Jakjakistan?

– Jak wiesz, przybyliśmy zza wielkiej wody – przypomniałem. – Na tej wodzie była mała wysepka, przypominająca swym kształtem kurze jajko. Wiesz pewnie co to kura?

– Oczywiście – odparł oburzony. – Wiem co to kura i wiem, co to jajko. Nie jesteśmy dzikusami.

– Dobrze. Więc na tej wyspie Jajecznej znajdują się wielkie, kamienne rzeźby przedstawiające głowy. Gryfów, kucyków, jaków, a nawet podmieńca. Nikt nie wie kto je zbudował. Kilku badaczy odkryło wokół resztki budynków, ale żadnych śladów, kto tam żył. Żadnych resztek narzędzi, żadnych śladów magii. Nic.

– A Jakjakistan to kraj gdzie żyją jaki. Czyli my – wyjaśniła Yriel, wskazując nogą na siebie. – Kraj to dużo wiosek, które są razem.

– Aha – mruknął po chwili syn wodza, marszcząc nakrapiane brwi. – Wy mówicie o wielu miejscach. Jak duży jest świat poza naszą dżunglą?

– Nie wiem – odparłem. – Nie wiem jak wielka jest wasza dżungla. Ale świat jest olbrzymi. Nikt jeszcze nie poznał całego i zapewne szybko nie pozna. My się staramy poznać choć kawałek, by pokazać go innym.

Dalszą dyskusję przerwało nam pojawienie się grupki dzieciaków, kopiących piłkę i krzyczących coś do siebie. Jeden wskazał nagle na kamienny pierścień przymocowany do jednego z budynków, po czym kopnął w jego stronę.

Nieduża piłka poleciała szybko w stronę pierścienia, odbiła się mocno od jego krawędzi, trafiła w ścianę budynku naprzeciw i poleciała prosto na Zefara. Ten odchylił się, po czym złapał pocisk ogonem. Sądząc po jego ruchach, musiał on być cięższy niż zakładałem, ale nie dość, by umknąć memu zwinnemu przyjacielowi.

– Ładny chwyt – pochwalił go syn wodza.

– No Już myślałam, że cię trafi.

Grupka dzieci podbiegła do Zefara oglądającego z bliska szarą piłkę. Ten, który kopnął piłkę wyszedł na czoło i powiedział coś, nieco nerwowo. Mimo, że nie znałem języka, domyśliłem się, o co mu chodzi. Chciał z powrotem swoją własność.

Mój pasiasty przyjaciel również to rozumiał. Uśmiechnął się do niego, po czym wskazał kopytem na kamienny pierścień wiszący na rogu budynku. Dzieciak pokiwał głową, a Zefar zakręcił piłkę ogonem i rzucił, trafiając idealnie w środek. Szara kula nawet nie dotknęła kamienia, choć otwór był niewiele większej średnicy niż ona.

Dzieci zaczęły krzyczeć z radości i pobiegły za oddalającą się piłką. Nasz przewodnik patrzył z niemalym szokiem na Zefara, a ja zastanawiałem się, czy właśnie złamano jakieś prawo, czy raczej wprost przeciwnie.

– Pięknie. – Nasz przewodnik aż zagwizdał. – Też grasz w Gałę?

– Nie.

– Co to Gała? – spytała Yriel, wyjmując mi to pytanie z ust.

– To część naszego życia. Wśród nas, jaguarów, każdy gra i to od małego. To nasza rozrywka i sposób na rozwiązywanie sporów. Poza tym, Gała to dar od boga Jaguara. To on nauczył nas, by zamiast walczyć, rozwiązać problemy na boisku, w uczciwej grze.

Zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy na niego pytająco. Słyszałem już o różnych darach od bogów, czy też od samej Celestii, ale kopanie piłki było czymś niespotykanym. To tak trochę jakby powiedzieć, że Harmonia zesłała nam zawody w Buckballu, albo Tak dał jakom hokeja.

– Chodźcie na stadion – zarządził entuzjastycznie syn wodza. – Tam coś zjemy i opowiem wam jak wielki Jaguar dał nam grę w Gałę i ile ona dla nas znaczy.

Stadion okazał się być prostokątnym, trawiastym placem, o wymiarach jakieś pięćdziesiąt metrów na osiem. Otaczały go wysokie na trzy metry, gładkie, kamienne mury, na których zamontowane było kilka kamiennych pierścieni, podobnych do tych, które znajdowały się na budynkach w całym mieście. Nad murami wznosiły się kamienne ławy, na których mogli zasiąść widzowie oglądający zmagania tutejszych herosów. Wokół samego stadionu znajdowało się sporo małych chat i szpo, z których dochodziła masa aromatycznych zapachów, mieszających się ze sobą i odgłosów pitraszenia różnych potraw. Zefar aż oglądał się na wszystkie strony, zadając mnóstwo pytań odnośnie jedzenia. Sam słuchałem z przyjemnością o tym, jakie potrawy można tu kupić i co jest dobre, a co mniej.

Wreszcie syn wodza wybrał jedną taką chatkę, gdzie z jego pomocą zamówiliśmy kilka bezmięsnych dań. Cztery duże bułki z mąki kukurydzianej napakowane smażonymi warzywami i takie smaczne kulki z ryżu i pasty warzywnej. Powiem ci, lady Rarity, że bardzo dobre. Trochę pikantne, ale nie wypalało.

Tak wyekwipowani zasiedliśmy na pustych trybunach, by zjeść i wysłuchać historii piłki, albo Gały, jak ją nazywali miejscowi. Choć moim zdaniem, ta nazwa to kolejny wymysł amuletu.

– Pytaliście, czemu piłka tyle dla nas znaczy i czemu jest darem od bogów? – zaczął nasz gospodarz, racząc się smażoną rybą na patyku. – Z chęcią wam o tym opowiem.

Gdy pierwsi wędrowcy dotarli tu i przeczekali porę monsunową, zaczęli budowę miasteczka. Jednocześnie nasi przodkowie zaczęli wędrować po okolicy, szukając innych miejsc i zakładając wioski rybackie czy obozy zbieraczy, które później przekształciły się w nowe wioski.

W ciągu kilku lat pojawiły się nowe plemiona, które niekoniecznie chciały z nami, czy ze sobą gadać. Toczyły ze sobą wojny, zawierały sojusze, zdradzały i tak dalej. Zapewne podobne rzeczy działy się też u was. Ale pojawiło się plemię bardzo bitne i agresywne, które chciało podporządkować sobie wszystkie wioski jaguarów. Zabijali tych, którzy im się przeciwstawili, a schwytanych wcielali do swej armii, albo składali w ofierze bogu Jaguarowi, by odnosić dalsze sukcesy. Nie oszczędzali kobiet ani dzieci.

W końcu tak wkurzyli sąsiednie plemiona tak, że te postanowiły się zjednoczyć przeciw wspólnemu wrogowi. Zebrali swych najlepszych wojów i ruszyli na złe plemię, by uderzyć prosto na ich wioskę.

Bitwa była krwawa. Sojusznicy wypadli z lasu i ruszyli na wioskę, wznosząc okrzyki bojowe ku chwale wielkiego Jaguara. Tamci wyszli ze swych domostw i wszyscy starli się w wielkiej bitwie, oświetlanej przez płomienie. Obrońcy walczyli dzielnie, ale armie sojusznicze miały przewagę liczebną i spychała miejscowych do tyłu.

Sprawa zdawała się być przesądzona.

Jednak wódz tamtej wioski nie próżnował. Odprawił rytuał, w którym poświęcił siebie i dwanaście dziewczic, by przebłagać boga Jaguara o siłę dla swych poddanych, by ci mogli wygrać walkę.

Jednak zamiast spełnić jego prośbę, bóg Jaguar wywołał trzęsienie ziemi, które sprawiło, że grunt się osunął i wszyscy pozostali przy życiu wojownicy znaleźli się w jednej wielkiej, podłużnej dziurze. Już mieli rzucić się sobie znów do gardeł, gdy na środek spadła podskakująca kula. Piłka, albo, jak to się u nas mówi, Gała.

Jeden z wojowników złej wioski złapał ją i momentalnie doznał oświecenia. W mig podał do drugiego i już po chwili zaczęli odbijać między sobą. Gdy kopnęli Gałę w stronę pierścienia z gałęzi wiszącego nad krawędzią, wódz wojowników sojuszu wioski wyskoczył w górę i przejął piłkę, odbijając ją swoim udem. A gdy tylko jej dotknął, spłynęła na niego łaska boga i umiejętność gry w piłkę.

Nie minęło wiele czasu, a wszyscy wojownicy grali w piłkę, próbując ją sobie zabrać, albo przekopać przez obręcz z gałęzi. A gdy już ostatni padli ze zmęczenia, podliczono punkty i okazało się, że sojusz wioski wygrał dwoma. Miesiąc później odbył się rewanż, w już przygotowanych zespołach i wtedy wygrali wojownicy złej wioski. Ale wszystko w niezwykle przyjaznej i serdecznej atmosferze.

Od tamtego czasu nasze spory próbujemy rozwiązać grając w Gałę. Nieważne czy to kłótnia o kobietę, czy o kawał żyznej ziemi. Ten, który wygra, bierze przedmiot sporu.

– Interesujące – przyznałem, wielce zaskoczony tą historią. – Bardzo ciekawe podejście i ciekawy bóg. Nigdy bym się nie spodziewał, by rozwiązaniem konfliktów był sport.

– Tak, wielki Jaguar dba o swoje dzieci. Nie chce by robiły sobie krzywdę. Zbyt wielką.

– A powiedz, czy ten wielki Jaguar miał też inne dzieci poza wami? – spytała Yriel. – Bo na wybrzeżu spotkaliśmy podobnych chłopów do was. Byli niżsi, chudsi i nieco bardziej kolorowi. Szarzy, czarni, rudzi, w paski, ciapki i w ogóle. Ale nie mówili nic o piłce. Tylko popijali jakieś chwasty przez słomkę i jedli ostre rzeczy.

– Nie mają u siebie stadionu – powiedział milczący dotąd Darkwing. – Nie przypominam też sobie, by interesowali się sportem. Co najwyżej walkami kogutów. Wiecie, ustawia się dwa koguty na arenie i podjudza żeby walczyły, a potem obstawia, który wygra.

Syn wodza zamyślił się i spojrzał w stronę stadionu. Po chwili jednak wrócił do nas, jakby znalazł tam odpowiedź na nasze pytanie.

– Choć Jaguar ma wiele kobiet, miał tylko czwórkę dzieci ze swoją siostrą – powiedział po chwili. – Czterech synów. Każdy z nich wyruszył na samotną wyprawę, by zdobyć chwałę i szacunek ojca. Jednak zamiast wrócić z łupami, każdy z nich postanowił osiąść w odkrytym miejscu i założyć nowe plemię, które będzie sławiło imię ojca. Więc oczywiście gdzieś muszą żyć inni, podobni do nas. I może nie znają gry w Gałę, bo sami nauczyli się, by swe konflikty rozwiązywać bezkrwawo. Albo wielki Jaguar dał im inną radę. A jak to wygląda u was z konfliktami.

Zaśmiałem się nieśmiało, wspominając ostatnią swoją bitwę z gryfami. Stojąca obok Yriel patrzyła wszędzie, tylko nie na jaguara, a Zefar pogwizdywał cicho. Z

kłopotliwego pytania uratował nas Darkwing, który dobrze opanował sztuke wykręcania się.

– Staramy się rozwiązywać problemy rozmową – oznajmił niewinnie. – Dopiero jak to nie działa, to łapiemy za miecze. Swoją drogą, widziałem, że ci twoi wojownicy mieli ciekawą broń. Te rękawice z pazurami. Zastanawiam się tylko, po co wam one, skoro wszystkie konflikty rozwiązujecie grą w piłkę?

– Dzikie zwierzęta niestety nie zawsze chcą grać. Poza tym, wojownicy zawsze są potrzebni. Jakby nagle przyszli do nas wrogo nastawieni goście, nie znający naszych zwyczajów i chcieli nas podbić.

– Trafiony – zaśmiał się kucoperz. – Na całe szczęście my nie planujemy was inwazji, czy coś. A swoją drogą, jak robicie te pazury?

– Nie mam pojęcia. To wiedzą odpowiedni rzemieślnicy. Jeśli chcecie, to mogę was zabrać do jakiegoś, a on wam wytłumaczy. Musimy jednak wrócić przed meczem. Ojciec chciał byśmy go razem obejrżeli. Dwie sąsiednie wioski mają spór o zbiór dzikiego kakaowca. Z pewnością wam się to spodoba.

– Owszem – Zgodziłem się z nim. Jakkolwiek spotkanie z tutejszymi rzemieślnikami było wspaniałym pomysłem, tak oglądanie takiego wydarzenia kulturowego jak mecz piłkarski o kakaowiec było czymś, czego nie widzi się na co dzień. Moi towarzysze zgodzili się ze mną. Zwłaszcza Yriel chciała obejrzeć.

– Wybacz mości książę, że ci przerwę, ale zrobiło się trochę zimno – powiedziała Rarity, otulając się szczelniej jego kamizelką, a jednocześnie starając się nie zniszczyć swej fryzury. – Czy moglibyśmy wrócić do środka ?

– Ależ oczywiście, lady Rarity – odparł. – Wybacz mi, musiałem się zapomnieć. Niestety zdarza mi się zapomnieć kiedy opowiadam.

– Ależ nic się nie stało, książę. Twoja historia jest naprawdę ciekawa, choć nie zaprzeczę, że nieco długa. Ale czy moglibyśmy ją dokończyć w jakimś cieplejszym miejscu? Niestety ta noc nie jest zbyt ciepła.

– Owszem, nie jest – przyznał, podając jej kopyto i prowadząc w stronę sali balowej. – A co do historii, to zmierzam już do końca. Choć spędziłem tam prawie dwa tygodnie, chciałbym ci jeszcze tylko opowiedzieć o fragmencie największego widowiska jakie dane mi było tam oglądać. Meczu piłkarskim.

Muszę przyznać, że wyglądał bardziej widowiskowo niż rozgrywki buckballa i mógłby konkurować z pokazami akrobatycznymi Wonderboltsów. Wiem, że to może

brzmieć jak herezja, ale mecz piłki jaguarów był nie tylko wielkim wydarzeniem sportowym, ale też miał walory artystyczne.

Rarity skrzywiła się. W zasadzie nie była miłośniczką sportów. To całe obijanie się, męczenie pocenie i śmierdzenie nie było w jej klimatach. Nic jednak nie powiedziała, gdyż nie chciała wyjść na nieuprzejmą. Poza tym, książę w swojej książce o Jakjakistanie bardzo ciekawie i z niemałą dawką humoru opisał rozgrywki hokeja na lodzie. Do tego stopnia, że nawet ona się zaczytywała tym fragmentem i chichotała jak nastolatka czytająca porady w czasopiśmie dla młodzieży.

– Z przyjemnością posłucham – powiedziała, wchodząc do sali balowej przez drzwi, które przed nią otworzył. – Wprawdzie nie jestem miłośniczką sportu, ale muszę przyznać, że niezmiernie podobał mi się opis meczu hokejowego z jednej, z twoich książek.

– Postaram się zatem, by brzmiało to równie dobrze. Aczkolwiek ciężko będzie, gdyż tu mecz nie zaczyna się od znalezienia zamrożonego jeziora, które utrzyma czternaście jaków na raz. Jak już mówiłem, jaguary miały prawdziwy stadion. I bez wątpienia był on wspaniałą budowlą.

Mecz zaczął się po południu. Trybuny zapełniły się w pełni. Widzowie siedzieli na kamiennych ławach wyścielanych mchem. Pomiedzy nimi były małe, wąskie schodki, którymi poruszali się sprzedawcy z zawieszonymi na szyi tacami pełnymi przysmaków, które sprzedawali widzom. Orzeszki, kulki z mięsa i warzyw, ryba na patyku, prażona kukurydza i wiele innych frykasów, których nie potrafiłem rozpoznać. W naszej łoży, przeznaczonej dla wodza i jego rodziny, również znalazło się sporo tego dobra. Choć przy apetycie Yriel i Zefara, ten stan rzecz szybko się zmienił.

Siedzenie w łoży wodza miało jeszcze kilka innych plusów, jak chociażby dobry widok na murawę, czy nieco więcej przestrzeni niż tam na dole. Choć zapewne bez nas, wodzowi, jego synowi i irytującej szamance byłoby wygodniej.

W końcu tłum się ożywił i zaczął krzyczeć, a na murawę wyszły dwie czwórki zawodników. Każdy z nich miał na sobie jedynie ochraniacz z grubej skóry, oraz lnianą koszulkę. Wszystko to w kolorach reprezentujących wioskę, z której pochodził. Jedni mieli białe koszule oraz granatowe ochraniacze, a drudzy żółte koszule, i czerwone ochraniacze. Bardzo pomocne rozwiązanie. Tak samo jak wymalowany na czarno znak identyfikacyjny na plecach.

– Jakie są zasady gry? – spytał Zefar, patrząc na rozstawiających się zawodników.

– Proste – odparł syn wodza, który wciąż miał nasz amulet. Umówiłem się z nim, że odda go nam gdy będziemy wyjeżdżać. Stwierdziliśmy, że tak będzie wygodniej. – Mecz trwa czas czterech dzbanów, czyli czas potrzebny by woda cztery razy wyciekła ze specjalnego dzbanu do pomiaru czasu, albo do momentu kiedy jedna drużyna zdobędzie osiem punktów. Punkty dostaje się za przerzucenie piłki przez obręcz przeciwnika. Piłkę można odbijać tylko nogami, piersią i głową, nie wolno jej dotykać łapami. Znaczący, sędzia może, ustawiając piłkę do strzału specjalnego, jak ktoś z przeciwników złamie zasady. No i nie wolno popychać, szturchać, czy szarpać pazurami. To niesportowe.

– Brzmi prosto – stwierdziłem. – A można podbiec do przeciwnika i zabrać mu piłkę? Oczywiście nogami.

– Nawet trzeba – odparł rozbawiony pytaniem syn wodza. – Na tym polega ta gra. Zabrać piłkę i trafić w pierścień przeciwnika zanim on to zrobi.

Spojrzałem na boisko. Oprócz ośmiu zawodników znalazł się tam dziewiąty kot, w jednolitym, białym stroju i z wielkim, miedzianym naszyjnikiem w kształcie głowy jaguara. Podeszedł do zawodników w koszulkach z wymalowanym dodatkowym znakiem i zaczął coś do nich mówić. Niestety nie słyszałem co.

– Opiekun meczu rozmawia z kapitanami – szepnął syn wodza. – On będzie stał na straży porządku meczu. A teraz poucza ich, by trzymali się zasad i grali uczciwie.

Kapitanowie podali sobie dłoń. Opiekun zszedł do krawędzi boiska i dał znak. Wtedy wódz wstał z wielkiego fotela, podeszedł do krawędzi łoża i pokazał wszystkim piłkę. Zakręcił nią na palcu, po czym rzucił na boisko.

Tłum zamilkł, obserwując jak piłka spada coraz niżej i niżej. Zanim jednak znalazła się dwa metry nad ziemią, kapitanowie drużyn skoczyli jej na spotkanie. Białą był odrobinę szybszy i przejął piłkę głową, posyłając ją do jednego ze swoich towarzyszy. Ten przyjął ją udem i podbił nogą, zaraz jednak podając do kolejnego ze swoich.

Jednak zawodnik w żółtej koszuli przejął piłkę pojawiając się jakby znikąd, po czym wyminął białego i pognął w głąb *białej* połowy boiska.

Część tłumu zaczęła krzyczeć, dopingując zawodnika. Pozostali również krzyczeli, zagrzewając do boju obrońcę który dotychczas czekał z tyłu, oraz dwóch Białych, goniących Żółtego zawodnika z piłką. Miałem wrażenie, że ciągnie się za nimi biała smuga. Coś jak ślad za szybko lecącym pegazem.

Biały zaatakował od prawej, próbując wybić piłkę. Jednak jaguar Żółtych dostrzegł ten manewr i podał do kolegi z tyłu, a ten momentalnie strzelił w stronę lewego pierścienia. Piłka poleciała, świszcząc w powietrzu, śledzona wieloma dziesiątkami oczu.

Tłum zamarł. Wszyscy z zapartym tchem wpatrywali się w pędzącą piłkę, za którą ciągnął się tajemniczy, eteryczny ślad. Tym razem żółty. Wyglądał trochę jak ogon cioci Celestii, która biegnie przez cały zamek, wiedzona zapachem naleśników.

Obrońca Białych pędził, ciągnąc za sobą dość podobną, białą smugę. Nie zatrzymując się, wbiegł po gładkiej, kamiennej ścianie stadionu, robiąc kilka kroków, po czym odbił się, w ostatniej chwili zasłaniając pierścień własną głową.

Tłum zaczął krzyczeć tupać i klaskać, choć słychać było też jęki zawodników Żółtych. Przyznam, że i ja dałem się porwać, tupiąc z radości. Cały ten stadion był pełen energii, niczym, świeżo uformowana chmura burzowa. Tylko czekać na piorun.

Ale piłka dalej była w grze. Zawodnik Białych przystopował ją nogą i obserwował uważnie swoich i przeciwników. Jeden Żółty podchodził do niego powoli, uważnie obserwując jego nogi. Wyglądał jak myśliwy zakradający się do Piszpunty.

Pozostali zasłaniali sobą zawodników białych.

Gdy między zawodnikiem z piłką a jego przeciwnikiem było już mniej niż metr, Żółty zaatakował. Podbiegł i zablokował go, jednocześnie starając się nogą sięgnąć tej niezwykle skocznej kuli.

Jednak zawodnik Białych zrobił sprytny zwód z lewej, jednocześnie puszczając piłkę prawą. Minawszy Żółtego przyjął ją lewą nogą i kopnął w stronę ściany. Po odbiciu przejął ją kapitan zespołu, który natychmiast podał ją do towarzysza wybiegającego pod obręcz przeciwników. Ten zaś przyjął ją nogą i od razu strzelił.

Piłka popędziła na spotkanie kamiennego pierścienia jak pocisk. Jednak zamiast w lini prostej, leciała po łuku, jakby jakąś, magiczną siłą przyciągania do celu. O tym w sumie mogła też świadczyć biała smuga ciągnąca się za piłką.

Dwóch żółtych zawodników gonił za nią, zbliżając się szybko. Za nimi ciągnęły się te świetliste smugi. Ale chyba bardziej intensywne niż wcześniej.

– Też to widzisz? – spytał Darkwing, szturchając mnie skrzydłem.

– Masz na myśli te smugi? – odpowiedziałem pytaniem.

– Tak – potwierdził. – Myślisz, że to magia?

– Nie wiem – odparłem. – Nie jestem zbyt dobry w magii. Znam się na podróżach.

– Na moje wygląda jak jednorożec, który dostaje piany – stwierdziła Yriel. – Tak się wtedy podpalacie i w ogóle.

Tłum zaczął krzyczeć jakby się smok rozbił o masyw Canterlot.

Spojrzałem na boisko i zobaczyłem jak Żółty obrońca desperackim ruchem broni pierścienia własną piersią, niczym sam Flash Magnus. Uderzenie ewidentnie było mocne, ale on się nawet nie skrzywił, gdy pędząca piłka trafiła go w sam środek piersi.

Gracz Białych przejął odbitą piłkę i momentalnie posłał ją w znajdujący się dużo dalej, środkowy pierścień.

Obserwowałem białą smugę, ciągnącą się za nią, oraz żółtą za obrońcą. Chyba wstrzymywałem oddech, zastanawiając się, czy zdąży, czy też nie.

Nie zdążył.

Lecz piłka trafiła w krawędź pierścienia, odbiła się od niej i wylądowała pod nogami Żółtego kapitana. Ten przejął ją i pognął na spotkanie z Białym kapitanem.

Zanim jednak do niego doszło, zręcznie złapał piłkę tylnymi łapami, przeskakując nad wchodzącym ślizgiem przeciwnikiem. Otaczająca go, żółta aura była aż nazbyt widoczna. To musiała być magia, bo co innego?

Wylądował, nawet się nie potykając i podał do towarzysza doganiającego go z lewej. Ten zręcznie odebrał piłkę, ale długo się nią nie nacieszył. Biały gracz pojawił się znikąd i uderzył prosto w piłkę.

Ta wspaniała kula wykonana tajemniczymi metodami, których nie chciał nam zdradzić mistrz tego fachu wyrwała do góry jak kuc, który usiadł na rozgrzanej patelni. Brakowało tylko smugi czarnego dymu.

Obaj gracze skoczyli jej na spotkanie. Obaj równocześnie kopnęli w piłkę i jakby na sekundę zamarli z nią w powietrzu, rozświetleni przez kolorową aurę, jasną niczym słońce. Tłum krzychał głośno i skandował imiona zawodników, jakby chcąc tym zmienić wynik klinczu.

– Łał – powiedziała z zachwytem Yriel. – To jest ekstra. Są naprawdę szybcy.

– Przyznaję, to jest ciekawsze niż się spodziewałem – zgodził się Zefar. Po jego głosie stwierdziłem, że był bez reszty pochłonięty widowiskiem. To niezwykle, biorąc pod uwagę, że nie przepadał za sportem. – W tym, pozornym chaosie jest świetna synchronizacja i zgranie. Trochę jak taniec.

– Ano.

– Powiedz – zacząłem, patrząc na syna wodza. – Czy zawodnicy używają magii na boisku?

– Magii? – spytał zaskoczony. – Nie. My nie dotykamy piłki siłą woli, ani nic z tych rzeczy, które pokazałeś. My nie mamy magii jak ty.

– A ta aura? Znaczący, te kolorowe światła, które otaczają zawodników i piłkę?

– To tylko manifestacja bojowego ducha. Im silniejszy duch i większa wola zwycięstwa, tym bardziej to widać. Podobno sam bóg Jaguar wspiera silnych duchem, dając im swą łaskę w grze.

– Interesujące – mruknąłem, patrząc na boisko, gdzie akcja zdążyła wrócić na połowę Białych, którzy teraz dramatycznie starali się bronić swoich trzech pierścieni. Skakali i biegali szybko, przerywając wszystkie ataki, lecz nie będąc w stanie wyprowadzić kontry. Przypominało to trochę obronę fortu w Redwood w czasie powstania osłów. – Czy ten bojowy duch pojawia się gdzieś poza meczem?

– Tak – potwierdził syn wodza, choć w jego głosie nie było pewności. – Jak się robi wielkie rzeczy, to duch się ujawnia.

– Bóg Jaguar lubi obserwować tych, którzy starają się bardziej – wtrąciła szamanka. – Chyba, że robią złe rzeczy. Wtedy zsyła na nich deszcz ognia, lub inne kary za grzechy.

– No dalej! Z lewej go! – krzyknęła nagle Yriel, uderzając kopytem w kamienną podłogę naszej łóży. Kompletnie mi tym wybiła ciętą ripostę dla szamanki. – Nie baw się tą piłką, tylko strzelaj!

– Twoja przyjaciółka chyba poczuła ducha piłki – stwierdził syn wodza, chichocząc pod nosem. – Zachowuje się jakby żyła wśród nas.

– Tak – potwierdziła Yriel. – To wygląda na fajną grę. Ale ja bym ją trochę ulepszyła. Kopanie jest niewygodne. Lepiej złapać ją w zęby, albo głową przytrzymać. Będzie się wygodniej biegać. No i trudniej ją wtedy zabrać.

– Jak w takim razie ją przejąć? Bez dotykania zawodnika?

– A czemu bez dotykania? Odebrać po jakowemu. Taranem. Nawet mam już nazwę: Football Jakakistański. Oj, musze tego spróbować w domu.

Jaguar pokiwał głową, słysząc odpowiedź, ale chyba mu się nie spodobała. Cóż, zapewne nigdy nie widział ulubionej dyscypliny sportowej jaków (poza rzecz jasna boksem), czyli hokeja. O ile zwykły jak już wygląda niebezpiecznie, o tyle czternaście jaków z kijami i na łyżwach uganiających się po zamrożonym jeziorze za drewnianym krążkiem wygląda naprawdę morderczo. A co gorsza, zdarza im się regularnie przekształcić mecz w sztachetobranie. Dokładnie takie, jakie podobno kończy każde wesele kucyków ziemskich. To zdecydowanie nie jest sport godny oglądania przez damy. Co innego Jaguarza piłka nożna. To jest naprawdę kulturalny sport.

Choć i tu zdarzają się kontuzje, o czym zresztą szybko się przekonałem.

Dwaj Biali wyrwali się z okrążenia razem z piłką i pognali na stronę przeciwnika. Gonili ich trzech zawodnicy Żółtych, ścigani z kolei przez dwóch pozostałych graczy w granatowych ochraniaczach.

Jeden Żółty minął zawodnika Białych i spróbował przejąć piłkę w biegu. Ten spróbował go wyminąć, lecz niestety doszło chyba do kolizji, bo obaj polecili na murawę, tworząc kolorową i jęczącą masę.

Rozległo się głośnie buczenie widzów, oraz krzyki. Aczkolwiek nikt nawet nie spróbował rzucić patykiem po rybie, ani czymkolwiek innym. Na boisko wpadł Opiekun, łomocząc w miedziany gong, który trzymał w łapie.

Spojrzałem na naszego gospodarza pytająco. To samo uczynił Darkwing i Zefar. Jedynie Yriel krzyczała z podniecenia. Dla niej był to chyba najciekawszy moment meczu.

– Jest foul. Chyba. To rozstrzyga Opiekun. On jest przedstawicielem Jaguara na boisku – wyjaśnił. – I to on zadecyduje, jak było naprawdę. O, zaraz będzie wznowienie – dodał, wskazując łapą.

I jaguar w szacie właśnie skończył rozmawiać z dwoma zawodnikami. Wskazał im miejsce, gdzie mają się udać, po czym wziął piłkę w łapy i postawił na trawie. Następnie szedł w stronę muru otaczającego boisko i dał znak kapitanowi Białych.

Wysoki jaguar podszedł do piłki, rozejrzał się i machnął łapą na swoich przyjaciół. Sam zaś kopnął piłkę tyłem nogi, podając do towarzysza czającego się za plecami. Ten szybko przyjął i przekazał dalej do gracza wybiegającego w przód.

Piłka odbiła się od kamiennej ściany, lądując pod nogami gracza w białej koszulce. Ten przyjął ją, zręcznym zwodem wyminął blokującego go gracza Żółtych, po czym ruszył w stronę pierścieni przeciwnika.

– Dalej! – krzyknąłem, pochłonięty obserwacją. Czułem, że chcę żeby biali wygrali. Nie wiem czemu, ale byłem wtedy za nimi. Nie znałem ich, nigdy wcześniej nie widziałem, a chciałem, by wygrali. – Dalej, strzelaj!

– No zabierz mu tą piłkę! – krzyczała siedząca obok Yriel. Widać jej się spodobały jaguary w żółtych koszulkach. – Co skaczesz koło niego jak kot z pęcherzem?! Po prostu zablokuj go i tyle!

Siedzący obok syn wodza zachichotał cicho. Gdy na niego spojrzałem, starał się to ukryć, ale z niewielkim sukcesem.

– Robię coś nie tak? – spytałem z obawą. Wołałem nie urazić miejscowych. Wprawdzie nigdzie nie widziałem wulkanu, do którego mogliby mas wrzucić, ale nigdy nie wiadomo, co trzymają w piwnicach.

– Wprost przeciwnie – odparł. – Robicie dokładnie to, co wszyscy na tym stadionie. Kibicujecie swoim wybrancom jakbyście byli jednymi z nas. A jeszcze rano nie wiedzieliście o istnieniu naszej wioski.

– Prawda – przyznałem, śmiejąc się serdecznie.

– Yriel lubi tych w żółtych koszulkach. Są szybsi i mają większego, tego no, ducha, czy jakoś tak. Bardziej się świecą.

Jak na zawołanie, Żółci właśnie w pięknym stylu obronili swój cel i znów przejęli inicjatywę. Jednak nie na długo, bo kapitan Białych popisał się niezwykłą techniką i wykopał piłkę prosto spod nóg oponenta, jednocześnie podając do swego towarzysza z lewej. Ten zaś podał dalej, do biegnącego po ścianie jaguara, który od razu posłał ją w stronę lewego pierścienia.

– Dalej. Dalej! – krzychałem, patrząc jak piłka mknie w powietrzu, ciągnąc za sobą białą smugę.

To było jak obserwowanie filmu w zwolnionym tempie. Jakby te sekundy rozciągnęły się w minutę, albo i dwie. Piłka zbliżała się, skręcając delikatnie w lewo. Przed samym pierścieniem wyskakiwał obrońca żółtych, gotów zablokować strzał. Jednak piłka minęła jego zaskoczoną twarz i po chwili wpadła w oddalony chyba o metr, środkowy pierścień.

Tłum zaczął krzyczeć. Nieważne czy kibicowali Białym, czy Żółtym, prawie wszyscy wiwatowali z radości i podziwu dla zawodnika, który strzelił gola. Tylko naprawdę nieliczni zawodzili z powodu tego, że ich drużyna straciła punkt. Widocznie widowisko miało priorytet. A nie powiem, to był naprawdę piękny pokaz szybkości i techniki.

Sam też stałem i tupiałem, podniecony. Obok mnie stała Yriel, wygrażając kopytem w stronę boiska. Po jej minie widziałem jednak, że to było bardziej na pokaz, bo jej oczy błyszczały radością. Nawet milczący Zefar się ożywił, patrząc na stadion jak urzeczony. Miał półotwarte usta, co mu się zazwyczaj nie zdarzało.

– Łał, to było naprawdę wspaniałe – powiedziałem zszokowany, patrząc jak napięcie opada.

– Prawda. To naprawdę piękny gol – potwierdził syn wodza. – Jeden z najpiękniejszych jakie widziałem. Ale zazwyczaj mecz wygląda bardziej dynamicznie niż dziś.

– Jeszcze bardziej? – spytał Zefar. – Oni już są szybcy. Chyba nawet szybsi od naszych najlepszych wojowników.

Jeśli Zefar to mówił, to był to wielki komplement. Bo musisz wiedzieć, lady Rarity, że Zebricańscy wojownicy znani są ze swego mistrzostwa we władaniu zakrzywionymi mieczami i kijami bojowymi. Potrafi to wyglądać jak taniec. Szybki i zabójczy. Miałem kiedyś okazję ćwiczyć z takim i spacyfikował mnie w kilkanaście sekund. A nie chwaląc się, jestem niezłym szermierzem. Szkoliłem się u tego samego nauczyciela co brat twojej przyjaciółki, Twilight Sparkle.

– Gdybyś obejrzał mistrzostwa wiosek, byłbyś pod jeszcze większym wrażeniem, przyjacielu w paski – zapewnił syn wodza, po czym spojrzał na ojca i

zamienił z nim kilka słów. – Mój ojciec mówi, że to istotnie była akcja godna mistrzostw. Bóg Jaguar musi sprzyjać drużynie z Tres Garras. To właśnie ci w białych koszulkach. W zeszłorocznych mistrzostwach zaszli aż do ćwierćfinału.

– Mistrzostwach? – spytał Darkwing. – Mówiłeś, że grając w piłkę rozwiązujecie spory.

– Tak. Ale co roku mamy też mistrzostwa na chwałę Jaguara. Każda wioska wystawia czteroosobową drużynę, które na boisku walczą o tytuł najlepszej i najpotężniejszej. A wioska której drużyna wygra otrzymuje zaszczyt organizacji mistrzostw w następnym roku. Oraz oczywiście nagrody.

– Aha. Coś jak turniej rycerski?

– Co to turniej rycerski? – spytał z zaciekawieniem syn wodza.

– To wielkie wydarzenie, na które zjeżdżają się wojownicy ze wszystkich wiosek, by rywalizować o tytuł najszybszego, najsilniejszego czy najzwinniejszego. A wszystko w atmosferze zdrowej rywalizacji. Jak tu, tylko zamiast piłki jest broń ćwiczebna.

– Aha. Brzmi dość interesująco.

– W każdej wiosce jest taki stadion? – podpytałem, zmieniając nieco temat.

– Nie – odparł jaguar. – W każdej wiosce jest stadion, ale nie taki. Ten jest największy. Jeśli wódz wioski, która ma organizować mistrzostwa uzna, że jego stadion jest za mały, może zawsze poprosić o pomoc sąsiednią wioskę. To nie jest nic złego. Zwłaszcza w porównaniu z niemożnością zorganizowania mistrzostw – dodał, uprzedzając moje i Darkwinga wątpliwości. Jak widać w tym małym państwie piłka grała olbrzymią rolę. Ciekawe czy większą niż wódz wioski?

Jak tak teraz myślę, to zastanawiam się, czy ktoś, wzorem jaków, nie wyzwał jakiegoś wodza wioski na mecz o wodzostwo.

Zanim jednak zdążyłem sformułować jakieś pytanie, spojrzałem na boisko i dostrzegłem, że gra znów się rozpoczęła. Tym razem jednak, akcja trzymała się bliżej środka, choć inicjatywa znów była raczej po stronie Żółtych. Nie mogli oni jednak wykończyć żadnej akcji.

Biali rzadziej mieli okazję do ataku, ale gdy już do niej dochodziło, docierali znacznie dalej w głąb pola przeciwnika. Jednak nerwy i ekscytacja sprawiały, że nie byli w stanie zdobyć kolejnego gola. Strzelali zbyt szybko i zbyt niedokładnie.

Nagle, sytuacja się odwróciła. Kapitan Białych zablokował strzał na lewy pierścień, jednocześnie przejmując piłkę. Od razu dopadło go dwóch graczy Żółtych, ale on się tym nie zraził. Przez chwilę odbijał piłkę między nogami, aż nagle wycofał ją i, uderzając tyłem łapy, przerzucił nad wielce zaskoczonymi jaguarami. Przejął ją

wysoki, chudy zawodnik, któremu ruszył na spotkanie kolejny Żółty. Zanim jednak mógł go zablokować, Piłka została podana dalej.

Obrońca pędził na spotkanie z zawodnikiem Białych, stanowiąc jedyną przeszkodę przed zdobyciem kolejnego gola. Z tyłu nadbiegali pozostali gracze Żółtych, gotowi otoczyć i zablokować przeciwnika. Biegli na wszystkich czterech łapach, osiągając naprawdę wielką prędkość.

Piłka została podana do tyłu. Prosto pod nogi zawodnika Białych. Ten przejął ją i po sekundzie kopnął w stronę ściany.

W pierwszej chwili myślałem, że tym razem to głupia decyzja, ale w mig zmieniłem zdanie, gdy zobaczyłem nadciągającego na czterech łapach kapitana Białych. Biegnącego właśnie po tej ścianie.

Jaguar odbił się przednimi łapami, uderzając tylnymi w piłkę, która pognęła w stronę środkowego pierścienia.

Już myślałem, że czeka nas powtórka z poprzedniego gola, ale nie. Kapitan Żółtych, prześcignął piłkę, wybił się w górę i, praktycznie obracając się w powietrzu, posłał ją wysoko w niebo.

Tłum znów zaczął krzyczeć. Nieważne czy kibice Białych, czy Żółtych, wszyscy krzyczeli z podziwu i z zaskoczenia. Ta dziwna, ledwie widoczna aura wokół kapitana Żółtych zdawała się rozszerzać na trybuny, zanim całkiem znikła. To było interesujące.

– Na moje to była magia – mruknął do mnie Darkwing. – Może i nie jestem jednorożcem, ale co nieco magii widziałem i to wygląda jak normalna magia.

– Możliwe – odparłem cicho. – To może być magia bierna, jak u kucyków ziemskich, albo...

– Albo co? – spytał, łapiąc mnie na urwanej kwestii

– Słyszałem kiedyś o magii tłumu. Podobno jeśli bardzo dużo kucyków czegoś chce, to są w stanie w pewnym, nieznacznym stopniu wpłynąć na rzeczywistość, by to się stało. Z tego co wiem, badania nie dały jednoznacznych rezultatów, więc nie ma dowodów, że to działa. Ale może to właśnie tu widzimy. W końcu kibice bardzo mocno chcą by ich drużyna wygrała. Być może, kiedy ktoś strzela czy broni, jego kibice mocno chcą by trafił, to trafia. Z drugiej strony, kibice przeciwnika chcą by była obrona. Więc pytanie, kto chce bardziej i kto ma większe szanse by to się stało?

– Myślisz, że tak jest?

– Nie wiem. Ale można by to zbadać. Tylko trzeba by tu sprowadzić naukowców i dać im mnóstwo czasu.

Spojrzałem na boisko i uświadomiłem sobie, że gra znów zdążyła się rozpocząć, a ja nawet nie zauważyłem kiedy. Tym razem ciężko było stwierdzić, czy ktoś ma inicjatywę. Gra rozgrywała się na środku, tylko czasami wyrывая się na którąś ze stron. Jednak ani Biali, ani Żółci nie byli w stanie wykończyć akcji, jak to podsumował nasz gospodarz. Miałem wrażenie, że ich błędy wynikają ze zmęczenia. Albo z nerwów.

Pamiętam, że spojrzałem wtedy na zegarek by zobaczyć jak długo już trwa mecz. Minęły już czterdzieści cztery minuty, a ja nawet nie zauważyłem kiedy.

Wtedy właśnie szturchnął nas syn wodza i wskazał na duże naczynie, stojące po przeciwnej stronie stadionu. Z góry wystawał drewniany kij, podłączony do maszynierii. Zaś z dołu naczynia wyciekała woda, spływająca do drugiego naczynia poniżej.

– Za chwilę będzie koniec pierwszej połowy – powiedział. – Dwa dzbany już prawie się przełali.

– Co to jest? – spytał Darkwing, patrząc na to, na co i ja patrzyłem.

– To nasz gong. On mówi, kiedy przeleją się dwa dzbany i nadchodzi pora na przerwę w rozgrywkach, by zawodnicy mogli odetchnąć. Zaraz nastąpi ta przerwa, a po niej druga połowa meczu.

– Taki rodzaj zegara – podsumował kucoperz.

– Ciekawy – stwierdziłem, przyglądając się maszynie.

– Co to zegar? – zapytał jaguar.

– Takie urządzenie do mierzenia czasu – odparłem, odpinając łańcuszek i dając mu mój zegarek do łapy. – To jest zegar. W środku jest sprężyna, która sprawia, że te wskazówki się poruszają powoli, pokazując ile minęło czasu.

– Czy też jest magiczny jak twój amulet?

– Nie. To zwykłe, mechaniczne urządzenie. Tylko bardzo skomplikowane. Mówiąc szczerze, nie wiem dokładnie jak działa. Musiałbym zapytać tych, którzy je robią.

– Ooo – jęknął nieco zasmucony. – Aha.

Kij wystający z dzbana opadł, zwalniając ramię, które uderzyło w gong.

Zawodnicy zatrzymali się, zupełnie zapominając o piłce, która potoczyła się pod pierścienie Białych. Następnie zebrali się w swoich drużynach i poszli w stronę wysokich, drewnianych drzwi po jednej stronie boiska. Choć byli przeciwnikami, szli ramię w ramię, rozmawiając jak najlepsi przyjaciele.

– I tak zakończyła się pierwsza połowa meczu. Zawodnicy zeszli do komnaty pod trybunami, widzowie zaczęli rozmawiać i się rozprostowywać, i nikt się nie pobił. Coś, rzekłbym, niespotykanego podczas jakiegokolwiek meczu.

– Przyznam książę, że to było naprawdę ciekawie opisane. Wprawdzie nie przepadam za sportem, ale słuchało mi się tego całkiem przyjemnie. Dynamicznie.

– Dziękuję. Cieszę się, że cię nie zanudziłem.

– Ależ skądże. Podobały mi się wstawki z rozmową, z synem wodza. Dobrze przełamywały dynamikę.

– Dziękuję – powiedział. – Planuję w podobny sposób opisać to w swej najnowszej książce. Choć rozważam też opisanie drugiej połowy bez rozmów. Tylko sam mecz. Dzięki temu czytelnik lubiący sport będzie mógł w całości oddać się lekturze. A z kolei jeśli mu się nie spodoba, będzie mógł pominąć ten fragment i nie stracić nic z kultury ludu Jaguara.

– Wspaniały pomysł – zapiała z zachwytu Rarity, obracając w swej telekinezie kieliszek. – Uważam, że to się świetnie sprawdzi. Ale, jeśli pozwolisz, książę, mam kilka pytań.

– Z rozkoszą na nie odpowiem – odparł, biorąc ze stołu małą kanapeczkę z oliwką. Przez chwilę przyglądał się jej uważnie, po czym zjadł ją z przyjemnością wymalowaną na pysku.

– Jak zakończył się mecz? Tak w skrócie – dodała Rarity, biorąc z bufetu małą kanapeczkę z oliwką.

– W skrócie, mecz zakończył się wynikiem dwa jeden dla jaguarów w złotych koszulkach. Ale trzeba przyznać, że obie drużyny grały na wysokim poziomie. Nawet jak na ich standardy. Dzięki temu mecz był naprawdę wspaniałym widowiskiem. Do tego stopnia, że spędziłem całą noc, robiąc notatki i rysunki, by niczego nie przeinaczyć.

– Nie wątpię. Przyznam, że możliwość obejrzenia meczu byłaby kusząca. I to nawet mimo tego, że nie jestem miłośniczką sportu. Ale wspomniałeś też książę, że wszyscy mieszkańcy wioski byli ubrani. Czy pamiętasz może, co nosili?

– Dokładnie ci nie powiem lady Rarity, ale większość nosiła raczej tuniki związane w pasie, jakieś odpowiedniki sukni i koszule oraz przepaski albo coś w rodzaju spodni do połowy nogi. Często na dolnych krawędziach pojawiały się takie sznurki, albo frędzle. A wszystko raczej... luźne. Wybacz mój niefachowy język. O statusie społecznym świadczyło skomplikowanie wzoru i ilość kolorów. Często też

pojawia się haft. Wśród biedniejszych często jest on wykonywany przez kobietę, która ten strój nosi i to czyni go wyjątkowym. Większość mieszkańców nie nosi nakryć głowy, a jeśli już zakładają, to często bardzo kolorowe i... rozłożyste. Z piórami, preparowanymi liśćmi i jeszcze czymś. Ale nie wiem jaki to materiał. Wiem, że tańsze stroje barwią po wykonaniu i czasami jeszcze malują wzory barwnikiem, zamiast je tkąć. Ozdoby wykonują z miedzi, kolorowych kamieni, srebra, albo materiału. Widziałem na przykład kobietę która miała fontaź zwisający z każdego ucha jak kolczyk.

– Fascynujące. Już czuję napływające inspiracje. Pewnie nie masz żadnych fotografii?

– Niestety nie, lady Rarity. Większość dzikich ludów źle reaguje na aparat. Gdy kiedyś wyciągnąłem go przy plemieniu koczowniczych osłów, mało nas nie zasiekały, krzycząc, że chce im ukraść dusze. Od tamtego czasu wolę nie ryzykować. Przynajmniej przy pierwszym spotkaniu.

– Szkoda – westchnęła Rarity. – To musiało wyglądać naprawdę zjawiskowo – dodała, po czym upiła szampana.

– Spokojnie, lady Rarity. Zrobiłem kilka rysunków i trochę notatek na potrzeby książki. Z rozkoszą przygotuję dla ciebie kopie. Ale od razu uprzedzam, że rysownik ze mnie marny.

– Będę niezmiernie wdzięczna, książę. Nawet nie wiesz jak bardzo.

– Drobiazg.

– A jak długo przebywałeś wśród tubylców, książę?

– Spędziłem u nich tydzień. Następnego dnia po meczu, zjedliśmy wspólny obiad z wodzem, na którym opowiedział nam nieco o swoich przodkach i o tym, jak wygląda władza. Otóż, prawo dał bóg Jaguar i wódz wioski jest pierwszym, który pilnuje jego przestrzegania. Później poznawaliśmy wioskę, zwyczaje, kulturę i masę niepozornych, acz ciekawych drobiazgów. Jak chociażby to, jak łowią ryby, czy wytwarzają wodoodporne obuwie lub tuniki. Po tygodniu wyruszyliśmy w podróż powrotną, a później zaokrętowaliśmy się na statek, który akurat wypływał do Equestrii. Naturalnie poza Darkwingiem, który wrócił do garnizonu na służbę.

– Dziękuję książę. To była naprawdę cudowna opowieść. Chociaż sporo słyszałam o Końliwii, to nie wiedziałam, że kryje takie sekrety.

– Ja również – wtrącił.

– Och, już czuję te inspiracje jakie spływają. Tak, jutro z samego rana zacznę tworzyć! Zawsze chciałam uszyć coś niezwykle kolorowego, ale nie miałam odwagi.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł, po spojrzał na Rarity.

Ciocia Celestia nie kłamała. Ta klacz była naprawdę zjawiskowa, wykształcona, obyta i niezwykle dobrze wychowana. Faktycznie zasługiwała na miejsce wśród elity bardziej niż niejedna szlachcianka z Canterlotu, czy Manehattanu.

– Mogę teraz ja o coś spytać? Powiedz, co myślisz o tym, że zacząłem swą opowieść od opisanego portu w Końliwii?

– Myślę, że to był dobry pomysł. Dzięki temu widać pewien kontrast tego, co znamy z tym, co odkryłeś. Poza tym, to jeszcze bardziej zacieka czytelnika. No i jeszcze nigdy nie pisałeś o Końliwii, więc to dobra okazja by przedstawić ją nieco z twojej perspektywy.

– Dziękuję. Cieszę się, że zechciałeś wysłuchać mej opowieści. To mi naprawdę pomogło.

Przez chwilę stali tak w milczeniu, upijając małe łyki z cienkich jak papier, kryształowych kieliszków. Zakłęci w czasie księżyc, oraz klacz z prowincji. Wpatrywali się w siebie, każde myśląc o czymś innym.

Wreszcie Blueblood przełamał czar chwili i wypowiedział swe myśli na głos.

– Rarity – zaczął nieco nerwowym głosem. Zupełnie innym niż przez cały dzień. – Nim nastał ten dzień, słyszałem nieco o tobie, jako bohaterce, powiernicze Elementu Harmonii, oraz dobrze zapowiadającej się projektantce mody z małego miasteczka. Dziś zrozumiałem, że plotki te nie oddawały w pełni tego, jak wspaniałą klaczą jesteś. Dlatego, Rarity, chciałem zapytać. Czy... – zająknął się nerwowo.

Rarity patrzyła na niego mętным wzrokiem, spijając każde słowo z jego ust. Jej serce łopotało jak koliber. Kark swędział, a w żyłach czuła lawę zamiast krwi.

Tak, tak, tak. Tak, z rozkoszą za ciebie wyjdę, tak, chcę mieć z tobą trójkę dzieci i tak, nigdy cię nie opuszczę ani nie zdradzę.

– ... Rarity... czy... czy zechciałabyś...

Tak!!! Kocham cię!!!

– Czy zechciałabyś wyruszyć ze mną na kolejną wyprawę do wioski plemienia Jaguara? – zapytał wreszcie, czerwieniąc się jak nastolatek po raz pierwszy rozmawiający z klaczą, która mu się podobała. – Wiem, że taka wyprawa może być niebezpieczna i nieodpowiednia dla tak szlachetnej damy, ale pomyślałem, że taka słynna bohaterka, powierniczka Elementu Hojności i uzdolniona w wielu dziedzinach klacz może być zainteresowana poznaniem odległych krain z pierwszego kopyta. Poza tym, zapewne znalazłabyś tam sporo inspiracji dla swych zjawiskowych kreacji.

Rarity była zszokowana. Zupełnie nie spodziewała się takiego pytania. Część jej umysłu wołała: *uciekaj jak najdalej!* Ale klacz nie była w stanie się ruszyć, ani

odezwać. Blokowała ją taka mała cząstka, gotowa poświęcić się, by przypodobać księciu. Bo kto wie, może ta wyprawa będzie początkiem księżniczki Rarity?

– Rozumiem, to trudna decyzja i zapewne musisz mieć wiele czasu by się namyślić – powiedział Blueblood, biorąc jej milczenie i zszokowaną minę za dobrą wróżbę. – Sam też nie chciałbym podejmować takiej decyzji w przypływie chwili. Może więc zatańczymy – zaproponował, słysząc jak orkiestra zaczyna zmieniać tony na bardziej dynamiczne. – To chyba tango. Będę zaszczycony jeśli zechcesz ofiarować mi ten taniec.

– T-tak – wydukała Rarity, po czym dała się poprowadzić na parkiet. Cała ta sytuacja była daleka od tego, jak wyobrażała sobie zwieńczenie gali. Choć może jeszcze nie wszystko stracone? Może warto pojechać na tą wyprawę? Przecież, co złego może się stać?

Te i inne pytania wywietrzały jej z głowy, gdy tylko książę zaciągnął ją na parkiet, a niewierne ciało poddało się gorącym, zagranicznym rytmom oraz czarowi Blueblooda. Gdy spojrzała na niego, pochylającego ją w dół i patrzącego na nią z różą w zębach, czuła, że jest gotowa wyruszyć na koniec świata, a nawet do Końliwii. Byle tylko być z nim.